Nr. 177. Lwów — Czwartek dnia 5 Sierpnia. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: 5 | NMP. Śnieżnej | 24 Chrystyny
Jutro: 6 | Przem. Pańskie | 25 Usp. ś. Anny

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o 4 m. 47
Zachód „ „ 7 „ 24

Długość dnia g. 14 m. 37
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 sierpnia.

W sprawie zwinięcia samoistnych słoweńskich paralelek przy gimnazyum w Cylei była onegdaj na audyencyi u prezesa gabinetu, hr. Badeniego, deputacya Słoweńców i wręczyła mu memoryał uchwalony przez konferencyę posłów słoweńskich z Lublanie, żądający definitywnego utrzymania tych paralelek tak, jak one istnieją przy gimnazyum w Marburgu. Hr. Badeni przyjął deputacyę w obecności ministra oświaty br. Gautscha i oświadczył, że rząd uczynił w tej sprawie wszystko, co było w jego mocy.

Rada państwa na wiosnę skreśliła pozycyę na paralelki słoweńskie, mimo to rząd nie zamknął bezwzględnie tych klas ze względu na słoweńskich uczniów i ich rodziców. Ze względów konstytucyjnych nie mógł rząd więcej uczynić, gdyż nie chciał żądaniem dodatkowego kredytu obejść uchwały parlamentu.

Br. Gautsch rzekł, że postarał się, aby uczniowie, którzy w gimnazyum cylejskiem rozpoczęli naukę utrakwistyczną, mogli systematycznie pobierać ją nadal, zarządził więc, aby oni i nadal w osobnych klasach w ten sposób, co dotąd, pobierali naukę.

Jako najpraktyczniejsze wyjście uważa minister urządzenie gimnazyum cylejskiego na wzór gimnazyum w Trydencie, gdzie są osobne klasy włoskie, którymi zarządza osobny zastępca dyrektora.

Deputacya oświadczyła, że na to Słoweńcy się nie zgodzą, lecz żądają, aby gimnazyum cylejskie urządzone było tak jak w Marburgu, t. j. aby niem w całości, t. j. i niemieckiem i słoweńskim oddziałem zarządzał jeden dyrektor. Miałoby to praktycznie takie znaczenie, że dyrektorem tego gimnazyum musiałby być Słoweniec, gdyż Niemcowi nie władającemu językiem słoweńskim nie możnaby oczywiście powierzyć prowadzenia klas słoweńskich.

Nadto żądała deputacya, aby paralelki słoweńskie zatrzymały charakter definitywny, podczas gdy bar. Gautsch nadaje im tylko charakter prowizoryczny i obstaje przy tem, że definitywne urządzenie gimnazyum cylejskiego zależy od uchwały Rady państwa. Dyskusya między członkami deputacyi a ministrami była bardzo ożywiona, a posłowie słoweńscy zagrozili nawet wystąpieniem z większości parlamentarnej na wypadek odrzucenia ich żądań. Hr. Badeni zapewniał deputacyę, że jedynem staraniem jego jest przywrócenie zgody narodowościowej i wskazał na to, że przecież w tej sprawie powinny się porozumieć oba narody zamieszkujące Styryę. Na to odpowiedzieli posłowie słoweńscy, że wedle ich zdania wewnętrzne urządzenie zakładu naukowego nie powinno zależeć od współdziałania drugiej narodowości.

Podaliśmy onegdaj w przekładzie artykuł *Moskowskich Wiedomosti* wzywający rząd, aby unieważnił wybory do rady miejskiej w Wilnie z tego powodu, iż wybrano do niej Polaków, a nie Rosyan. Artykuł ten twierdził, że Polacy na Litwie są tylko przybyszami, nie powinni więc zasiadać w zarządach miast, a jeżeli ludność ich wybiera, to dzieje się to ze szkodą państwowych (sic!) interesów Rosyi i rząd nie powinien na to pozwalać.

Ale ci Polacy, którym bez wzywania *Moskowskich Wiedomosti* nie pozwala rząd bardzo wielu rzeczy na Litwie, poczęli przenosić się do guberni ościennych i korzystając z tego, że tam wolno jeszcze nabywać ziemię, zaczęli tam kupować majątki. Tym sposobem w ostatnich paru latach nabyli w guberni smoleńskiej kilka czy kilkanaście wiosek. Wnet szowiniści rosyjscy uderzyli na alarm w *Moskowskich Wiedomostiach.*

Zdaniem ich, Rosyi, która jest tak wielka jak cała część świata, grozi ogromne niebezpieczeństwo z tego powodu, że kilkanaście tysięcy morgów, przeszło w polskie władanie! Wzywali przeto rząd, aby zabronił Polakom osiedlać się w Smoleńskiej gubernii. Jednakże rząd nie usłuchał ich wezwania. Teraz więc nastąpiła druga denuncyacya. Oto okazuje się że polszczy się Wiazma, najbardziej na wschód wysunięte powiatowe miasto Smoleńskiej gubernii, liczące około 25 tysięcy mieszkańców i będące już jakby przedmieściem Moskwy. Tysiąc Polaków osiedliło się w tej Wiazmie i ta garstka taką trwogą przejmuje 100 milionową Rosyę, że *Moskowskie Wiedomosti* tracą polityczną rozwagę, pomimo, że przecież naczelnym ich redaktorem jest najtęższy z profesorów moskiewskiego Uniwersytetu. Zaiste są to rzeczy, których w gronie wytrawnych polityków nikt nie dałby wiary. My sami gdybyśmy własnemi oczami nie czytali tych dziecinnych artykułów w *Moskowskich Wiedomostiach*, nie przypuścilibyśmy, że główny organ tak potężnego wielkiego państwa jak Rosya może do tego stopnia być drobiazgowym i dziecinnym w polityce, że go nie interesują wielkie sprawy międzynarodowe lub wielkie zadania społeczne, lecz takie liliputowe fenomena, jak to co porabia garstka ubogich Polaków, która poszła w daleką i zimną Wiazmę szukać kawałka chleba przy kolei żelaznej.

Żeby wszakże nie mówić na wiatr, podajemy w tłumaczeniu ów znakomity artykuł *Moskowskich Wiedomosti*. Oto on:

„Spolszczenie smoleńskiej gubernii, to fakt ogólnie znany; nasza Wiazma nie przedstawia niestety pod tym względem żadnego wyjątku. Liczba Polaków w naszem mieście rośnie trwale i szybko, i już teraz tutejsza polska kolonia liczy conajmniej około 1000 dusz.

Polacy zawsze zostają Polakami; a wszędzie, gdzie ich dużo, trzymają się zdaleka od Rosyan. To samo da się powiedzieć i o wiazemskich Polakach, ale wogóle do niedawna nie można ich było obwiniać o jakąś szczególną ekskluzywność. W ten bowiem czy ów sposób zbliżali się oni ku rosyjskiemu społeczeństwu. Pojawiały się nawet symptomata świadczące wcale dodatnio o tej inklinacyi: i tak np. wielu uczniów tutejszego gimnazyum katolików chodziło na lekcyę religii prawosławnej, a rodzice Polacy z chęcią pozwalali swoim synom chodzić na mszę prawosławną do gimnazyalnej cerkwi i śpiewać razem z prawosławnymi uczniami.

W ostatnich jednak latach stan ten zmienił się na gorsze, co zaraz odbiło się na towarzyskiem życiu Wiazmy. I tak administracya kolei żelaznej, składająca się wyłącznie z Polaków, urządzała dawniej wieczorki zwane kolejowymi, w których brali zawsze udział i Rosyanie; teraz są to wieczorki już wyłącznie polskie, na które nie zapraszają wcale Rosyan. Polityka, o którą się dawniej wiazemscy Polacy wcale nie troszczyli, teraz weszła w modę. Rozkrzewiane bywają wypadki warszawskie, a zdania o nich wyrażane są pełne przesady. Wynikają z tego pewne projekty, samych z siebie niewinnych, lecz których urzeczywistnienie wywoła jeszcze większe odosobnienie się Polaków wiazemskich. Przebąkują naprzykład o zamiarze zbudowania kościoła albo conajmniej kaplicy katolickiej we Wiazmie, krąży także projekt sprowadzenia księdza na stałą posadę i uzyskania zezwolenia na udzielanie nauki religii w gimnazyum tutejszem dla katolików. Według tego projektu ów ksiądz byłby zarazem gimnazyalnym katechetą.

W ostatnich latach smoleńscy księża bardzo często nawiedzają Wiazmę. Dawniej przyjeżdżali oni dwa, trzy razy na rok; teraz bywają co miesiąca, a nawet i częściej.

Czy Polacy dopną swoich zamiarów czy nie, to inne pytanie. To jest jednak niewątpliwem, że zalewając Wiazmę chcą oni *zamienić ją na miasto rdzennie polskie.* (Takie szczere słowa mówi się na wstęp! Przypisek Redakcyi *Przeglądu*).

Chodzi teraz o to, aby wykryć przyczyny tego odosobnienia się Polaków. Nie jest żadnym dążenie, dążność do odrębności jest jedną z cech polskiego charakteru, ale to jeszcze wszystkiego nie objaśnia. Niektóre dane pozwalają przypuszczać, że na Polaków wiazemskich działa jakiś zewnętrzny czynnik.

Znając stosunki, panujące wśród wiazemskich Polaków, wiem także bardzo dobrze, że głównym czynnikiem rozkładowym wśród nich są księża, lecz to jeszcze nie największe złe. Księża tak lub owak są pod kontrolą rządu; lecz cóż począć z tajnymi emisaryuszami papizmu, którzy Bóg wie skąd tu się zjawiają i gdzieś znikają.

W ciągu ubiegłego miesiąca bawił we Wiazmie trzy tygodnie niejaki p. Albert Lej. Osobistość ta, którą mieliśmy sposobność tylko rzadko widywać, jest bardzo zagadkową. Po rosyjsku p. Lej nie mówił wcale, za to płynnie władał językiem francuskim, niemieckim i polskim. Osoby bliżej znające tego pana opowiadały mi, że to człowiek bogaty, który podróżuje na swój koszt i że przyjechał z Galicyi. Przyjazd p. Leja wywarł na Polaków Wiazmy wielkie wrażenie. Młody ten, bo 24 letni i przystojny człowiek oświadczył, że przyjeżdża z polecenia smoleńskiego księdza uczyć dzieci religii katolickiej. Wnet rozeszła się pogłoska, że ten p. Lej to święty, że żywi się tylko „chlebem, wodą i surowem mięsem“ i oto pomieszkanie p. Leja (gościł on w domu jednej z wybitniejszych rodzin polskich) stało się punktem zbornym dla polskiej młodzieży.

Wrażenie, jakie wywarł p. Lej, okazało się dwojakie. Wiazemskie dewotki powaryowały wskutek kazań złotoustego kaznodziei; jedna z nich np. zapytała, gdzie znajdują się teraz wóz i konie, na których święty Eliasz wzniósł się do nieba? a p. Lej objaśnił jej to — jak potem zaręczała — zupełnie wystarczająco. Na młodzież wywarł p. Lej nieprzyjemne wrażenie. Pomimo swej świętości wydał się jej wielki blagierem, lubiącym wykładać religię na osobności młodym pannom. Jednej z nich wyjawił, że należy do zakonu OO. Jezuitów i że posłano go do Rosyi dla utwierdzania Polaków w „prawdziwei wierze“. Namawiał on panny do wstępowania do krakowskiego klasztoru. To się nie podobało wielu. Raz pewna dama spytała go, czy jest Jezuitą Lecz ponieważ było to w licznem towarzystwie, odrzekł p. Lej wymijająco: „Nie jestem — Jezuitą, ale bardzo poważam Jezuitów“, i żalił się, że rosyjscy Polacy tak mało znają religię i tak przewrotne mają pojęcie o Jezuitach.

— Wy powinniście czytać, a u was mało książek — dodał. — Chciałem wam przywieść dużo dobrych książek, ale niestety skonfiskowano mi je na granicy.

Nareszcie ów p. Lej znikł w sposób tak samo zagadkowy, jak się zjawił. Podobno wyjechał do Moskwy.

Rodzice tych uczniów, których p. Lej uczył religii katolickiej, byli bardzo z niego niezadowoleni. Jak się pokazało, byłto wielki grubijanin, pasyonat, który bił swoich uczniów, a nawet uczenice. Skarżono się na to przybyłemu ze Smoleńska księdzu. Ksiądz — jak mówią — bardzo się zdziwił i rzekł, że Leja przysłano do niego z najlepszemi rekomendacyami i że tylko na tej podstawie delegował on go do Wiazmy. W przytomności innych osób wypominał ksiądz p. Lejowi te skargi na niego, na co Lej powiedział, że tak musiał postępować, bo inaczej niczegoby nie osiągnął. „Oni już tak zmoskwicieli, że ich trzeba bić. Jeżeli tu jeszcze raz przyjadę, to przywiozę z sobą kij“ dodał.

Zachowywał się ten tajemniczy gość we Wiazmie bardzo dwuznacznie. Wzbraniał się chodzić po Wiazmie z osobami, które mu chciały pokazywać miasto; widocznie nie wierzył im i bał się. Wartoby dowiedzieć się, co to była za figura. Jedno tylko jest niewątpliwem: że wskutek nauk p. Leja wiazemscy Polacy jeszcze bardziej odosobnili się od Rosyan.“

Tyle słów tego artykułu *Moskowskich Wiedomosti*. I czyż nie można się dziwić, że pismo poważne, organ uniwersytetu, dziennik jeden z najbardziej wpływowych w Rosyi, zamieszcza takie dziecińistwa, wyroby takie płytkie, śmieszne, w których jest wprawdzie dużo do Polaków i do katolicyzmu nienawiści, ale bodaj czy naiwności nie jest jeszcze więcej, a w każdym razie nie ma nic ani uczciwego patryotyzmu rosyjskiego, ani nauki stanu.

KORESPONDENCYE.

Kijów, 1 sierpnia.

(*Wystawa przemysłowo-rolnicza. — Wiele hałasu o nic. — Urodzaje na Ukrainie*).

Zwolna postępują roboty na placu wystawy, wolniej nawet, niż przed otwarciem. Wobec tysiącznych niepowodzeń, jakich już wystawa doznała, pomyślnem jest to, iż po zamknięciu terminu składania deklaracyj, zgłosiło jeszcze kilkanaście firm z Królestwa swój udział; zostały przyjęte, albowiem inne firmy mimo deklaracyi, cofnęły się zrażone bagatelizowaniem ich ze strony komitetu, — pozostało więc miejsce, które teraz przecież się użyje. Jest to małe szczęście w nieszczęściu olbrzymiem. Im dokładniej rozpamiętywamy zawiązek wystawy i im szczegółowiej poznajemy niewłaściwości w urządzeniu, tem więcej podziwiamy komitet, iż odważył się w tym roku wystawę otworzyć. Od samego bowiem początku walczył komitet z kłopotami pieniężnymi; miasto ofiarowało 5.000 rs., 10.000 rs. ministeryum rolnictwa, i to był cały kapitał zakładowy! Rychło o zywiście stopniał, udano się więc na drogę pożyczek, a gdy i w tych posunięto się do ostatnich granic możliwości, nie pozostawało nic innego, jak zawołać do obywatelskich sumień o pomoc. Sposób był skuteczny, obywatelstwo — i do tego obywatelstwo przeważnie polskie, dało ile mogło. Najpoważniejszym był datek Józefa hr. Potockiego, wiceprezesa wystawy, który ofiarował 25.000 rs. Ogółem kosztuje wystawa mniej więcej pół miliona. Że się te koszta nie wrócą, to już dzisiaj jest pewnem. Jakiej jednak cyfry dosięgnie niedobór, to zależy od stopnia cierpliwości wystawców i zwiedzających. Wystawcy okazali już, że cierpliwość mają, płacąc niesłychaną sumę 9 rs. za sążeń kwadratowy pod dachem, a po 3 rs. za arszyn miejsca pod gołem niebem. Dalej musieli złożyć podatek również dotąd nigdzie niebywały, 6 rs. za bilet sezonowy wejścia. Służba wystawców ma bilety wejścia gratisowe, ale tylko do godziny szóstej wieczór. Stąd więc jeszcze i ta przykrość, że wystawca potrzebując swych pachołków i stróżów przy zamykaniu pawilonów wieczorem, musi dla nich osobny kupować bilet. Ciekawe rozporządzenie wydał zarząd wystawy o sprzedawaniu wystawionych przedmiotów. Kto chce coś na wystawie kupić, winien iść do specyalnie urządzonej dla każdego działu przemysłowego kasy, i tam należytość zapłacić. Dziesięć od sta pozostaje w kasie, a 90% jest własnością sprzedającego. *Dura lex, sed lex* tak postanowiono, toż obie strony, t. j. kupiec i klient muszą się temu poddać, ale to bardzo każdego zniechęca. Wstęp na wystawę kosztuje w dzień 25 kop., wieczór zaś 30 kop. Na całym świecie bilet wieczorny kosztuje zazwyczaj mniej niż dzienny, bo przecież trudno wieczorem zwiedzać pawilony. Na tem przyjemność wieczorna jednak się nie kończy. Chcesz bo słuchać w hali muzycznej lub na ogrodzonym tarasie koncertu zresztą wcale dobrej kapeli p. Hlawacza, płacisz 20 kop., chcesz innych koncertów — damskich, ale za to krzykliwych i nieumiejętnych, płacisz to samo w restauracyach, a przytem słono — jak zwykle już na wystawach — za jadło i napoje.

Otóż od tych restauracyi możnaby właściwie rozpocząć opisywanie wystawy, bo one więcej chyba niż inni wystawy zdobyły sobie względów zarządów wystawcy, funkcyonują więc od pierwszego dnia. Restauracyi i jadłodajni, jest ogółem 16 różnego kalibru a dwie kuchnie ludowe urządzone przez Tow. dobroczynności dla służby i robotników. Restauracyom dobrze się powodzi, zwłaszcza wieczorami. W dzień przy upałach 35—40° R. skwarzyć się po placu pozbawionym zupełnie cienia, niepodobna. Za to wieczorem zbiera się wcale pokaźnie doborowe towarzystwo, aby użyć dobrego powietrza. Przechadzka późnym wieczorem po wzgórzach wystawowych jest w istocie powabną; obszar wystawy zajmujący prawie 20 morgów oświecony dość gęsto elektrycznemi lampkami, blask pada na wieżyce i witryny i klomby kwiatowe, z kilku stron odzywa się muzyka, a u dołu szumi życie Kijowa.

Jest to jedyna przyciągająca strona wystawy. Zresztą nie wiele do zobaczenia. Z pawilonów, których tu jest około 130, już wykończone: pawilon Józefa hr. Potockiego, bieluchny z brzozowej kory, istne cacko pod względem architektonicznego smaku; dalej willa gustowna w. księcia Piotra Mikołajewicza, pawilony: Konstantego hr. Potockiego, Władysława hr. Branickiego murowany, szwedzki budynek p. Tereszczenki, pawilon ichtyologiczny w którym wystawcami są: kijowski Yacht Club i kijowskie Towarzystwo handlu i hodowli ryb; pawilon rękodzielniczy, rzemiosł włościańskich i kilkanaście prywatnych, przeznaczonych dla maszyn i narzędzi rolniczych.

Ugrupowanie okazów fatalne. Obok pierników gorsety, koło wyrobów skórniczych mydła i perfumy, koło smarowideł i olejów cukierki, przy koszykach kalosze. Ogromnie to utrudnia oryentowanie się i przegląd tego lub owego działu. Największy porządek jeszcze jest w dziale maszyn rolniczych, tylko że tam dotąd nie wszystko ustawione. Firmy zagraniczne, eksponujące poza konkursem, przewodzą nad krajowemi dzięki wspaniałym budynkom — okazy zaś, bez samochwalstwa mówiąc, są tak samo dobre jak nasze — jeśli oczywiście przemysł krajowy czasami nie wyprzedza zagranicy.

Wchodząc główną bramką, bardzo małą od placu Troickiego, spostrzega się w grupie pawilonów strukturę miłą dla oka a oryginalną. Mały budynek, utworzony z beczek, mieści w sobie oleje i smarowidła p. Olchowicza z Warszawy; w sąsiedztwie w pawilonach jego rodacy, p. Karasiński i Spka wystawili maszyny parowe dla cukrowni, a pp. Weber i Dahne z Warszawy misternie sporządzone wagi rozmaitych rozmiarów i systemów.

Nieco dalej uderza na jakimś aparacie wyryty kościotrup; zbliżasz się i czytasz: „memento mori“. Z początku ogarnie cię śmiech pusty mimowoli, bo spodziewasz się jakiegoś figla, tem chytrzejszego, że wśród tak poważnych okazów jak maszyny ukrytego, ale wnet się zagadka wyjaśnia. Jest to bowiem automat, chroniący kotły parowe od eksplozyi. Wystawca p. Neumark z Łodzi.

Poprawne filtry dla piwa, wina i wytworów owocowych wystawił p. Poszepny z Warszawy, fabrykant znanych na całą Rosyę maszynek do korkowania butelek. Wystąpił on na wystawie kijowskiej bardzo bogato z maszynami i aparatami piwowarskimi, które od lat przeszło dwudziestu mają sławę europejską i szeroki zbyt nawet zagranicą. Doniosłym też jego fabrykatem są doskonałe prasy do wyrabiania win owocowych, niemniej wentylator śrubowy, regulujący temperaturę i czyszczący powietrze pokojowe. Nakoniec na szczególne uznanie zasłużyła jego pompa ssąco-tłocząca angielska systemu „Vortington“, opatrzona wentylami kulowymi, przeznaczona dla browarnictwa. Wykonana jest nadzwyczaj pięknie, wykończona pracowicie, zaćmiewa uznawany dotąd za najlepszy fabrykat moskiewski.

Oto co dotąd można było bez przeszkody obejrzeć dokładnie. Dział rolniczy obesłało 500 wystawców; najliczniejszym ma być przemysłowy, bo 900. Dwustu wystawców zapisanych jest w dziale naukowym, 200 w przemyśle włościańskim; ogółem 1.700 wystawców, z czego na Królestwo polskie przypała stukilkunastu, około sześćset na Ukrainę i resztę prowincyj zabranych, a blisko czterysta na Rosyę i zagranicę.

Sprawozdawcy pism warszawskich przesłali swym redakcyom wykazy osób, które złożyły ofiary na cele wystawy. Wykazy te, chociaż pochodziły z biura komitetu, nie były dokładne, bo różniły się od siebie tak co do ofiarodawców jak i ofiarowanych kwot, a kilku pozycyj nawet wcale nie zawierały. Zirytowało to tutejszą gazetkę wystawową *Wystawocznyj Listok*, który przy ogniu tych niedokładności upiekł swoją szowinistyczną pieczeń, posądzając Polaków, że chcą ująć zasługi obywatelom Rosyanom, którzy przyczynili się także bardzo wydatnie do urządzenia wystawy. Niepotrzebne to gniewy. Nikomu ani przez myśl nie przeszło przemilczeć o tem, że Rosyanin X. lub Y. dał tyle a tyle na cele wystawy. Owszem zdarzyło się nawet wskutek błędnych informacyj, że opuszczono Polaków, którzy dali po kilka i kilkanaście tysięcy. Wszyscy przedstawiciele polskiej prasy uznają to zgodnie, że gdy komitet nie mając pieniędzy zawiesił był w r. z. prace przygotawcze i udał się do krajowego obywatelstwa o składki, zamożni Polacy i Rosyanie bez odwłoki pomoc swą dali. Że zaś wszyscy ci, którzy dopomogli do wykończenia wystawy, wyrządzili tem przysługę o

---

4)

DO IDEAŁU.

POWIEŚĆ

przez

DE TINSEAU.

(Ciąg dalszy).

Dokoła halli ciągnął się rodzaj krużganku, na który wychodziły drzwi od apartamentów na piętrze.

— Chwilę cierpliwości. Przychodzę natychmiast — ozwał się ztamtąd głos tak stanowczy, że aż oschły.

I wkrótce pani Montgodefroy powitała dość chłodno „swego sąsiada“, jak raczyła nazywać Adryana La Houssaye. Po przedstawieniu jej Bernanda de Louarn zajęli fotele w stylu Ludwika XIV, otaczające kominek i przeznaczone na ceremonialne wizyty.

Następnie zaczęła się stereotypowa w takich razach rozmowa. Czy gość był zadowolony ze swego pobytu w Meaux? Czy znalazł dobre mieszkanie? Czy się cieszył z blizkości Paryża? Czy lubił polować? Bernard de Louarn, poddając się banalności tej rozmowy, przypatrywał się uważnie pani Montgodefroy spokojnym wzrokiem bretończyka, bez tego zmieszania, jakie zwykle w obec niej zdradzali bardzo młodzi mężczyźni.

Posiadała ona bowiem ten rodzaj niepokojącej kobiecości w całej osobie, w każdej pozie, w każdem poruszeniu. Nie znaczy to bynajmniej, aby miała coś wyzywającego w swojej postaci, ubiorze lub obejściu, ale jej kształty przemawiały mocno do zmysłów, nie przechodząc jednak właściwej miary, jak się to często zdarza u kobiet po czterdziestym roku.

Niepodobna też było zaprzeczyć, że pani Marta była niezmiernie dystyngowaną, prawdziwą de Rénuzart, pomimo, że nosiła nazwisko Montgodefroy, gdy na fotelu à la Maintenon tak dla niej stosownym, przyjmowała swoich gości. Od stóp, obutych w angielskie buciki, aż do stojącego kołnierza jej gładkiej, wełnianej sukni, oko nie spotykało jednej wątpliwej linii w jej całej postaci, której doskonałe kontury uwydatniał krój ubrania i zdradzała każda, najbardziej przypadkowa poza. Niedarmo uchodziła ona za kobietę najpiękniej zbudowaną ze wszystkich paryżanek. Znawca byłby znalazł zapewne, że suknia w doskonałości kroju nie ustępowała posągowym kształtom, które miała zaszczyt okrywać.

Za to najwięksi nawet pochlebcy nie mogli utrzymywać, aby właścicielka pałacu Saint Urbain była ładną. Możnaby sądzić, że natura, zadowolona ze swego dzieła, nie chciała, aby ładna twarz odwracała uwagę od reszty. Głowa jednak była małą, a przy głowie, nie dochodzącej średnich rozmiarów, kobieta nigdy nie jest brzydką. Z szarych oczu, ocienionych nieco zbyt gęstemi brwiami, wyglądała zagadka sfinksa, jaką kobiecość stawia bezustanku męskiej zmysłowości, ale te oczy zadawały ją chłodno, pewne odpowiedzi, jaką miały otrzymać. Szerokie usta o wąskich wargach pozwalały utrzymywać niezadowolonym, że Marta Montgodefroy była pozbawioną temperamentu. Co tacy mogli sądzić o tem?

Pani Marta chciała wiedzieć dlaczego Bernard de Louarn wybrał sobie Adryana La Houssaye, aby go przedstawić w jej domu.

— Nie mogłeś pan wprawdzie wybrać nikogo godniejszego — dodała z pośpiechem, domyślając się, iż „sąsiad“ uśmiechnął się pod wąsem — ale wiem, że „pustelnik z Le Mûrier“ nie zwykł się trudzić dla tak błahego powodu.

— Nie jest bynajmniej czemś błahem, gdy przyjaciel czegoś od nas żąda, a pan Bernard jest moim przyjacielem, prócz tego, pochodzimy z tych samych stron — odrzekł Adryan.

Pani Marta ożywiła się, usłyszawszy nazwisko de Louarn, które przy przedstawieniu młodzieńca niewyraźnie obiło się o jej uszy.

— Jak to! — zapytała Bernarda — byłżebyś pan synem tego sławnego socyalisty chrześcijańskiego?

— Nie słyszałem, aby mój ojciec przybierał kiedy ten tytuł — odrzekł tenże z pewnem niezadowoleniem. — Mój ojciec jest chrześcijaninem i to głęboko wierzącym, w czem nie ma nic dziwnego, gdyż jest bretończykiem, ale socyalistą... nazwa jest co najmniej niepochlebną.

Pani Montgodefroy nie szło bynajmniej o poruszanie jakiejkolwiek kwestyi na tej pierwszej wizycie.

— Pański ojciec — rzekła wymijająco — będzie bardzo szczęśliwym, gdy się dowie, że pan zostajesz pod opieką... najrozsądniejszego z mentorów. Prawda, jaka cisza i spokój panuje w Le Mûrier i jak się tam wypoczywa?

W ostatnich słowach czuć było porządną dozę ironii.

— Dlatego też porucznik de Louarn pośpieszył poznać Saint-Urbain, gdzie wprost przeciwne znajdzie zalety — odrzekł Adryan.

— Chciej pan przypuścić — zwróciła się do młodzieńca pani Marta — że i my potrafimy się bawić. Saint-Urbain może dziś wydawać się panu bardzo nudnem, ale postaramy się pokazać je panu w innem świetle. Przyjedź pan na obiad w niedzielę, zastaniesz pan mego kuzyna de Villegarde, kilku paryżan, z tych, którzy w każde święto uciekają z miasta, i mego męża między nimi. Pan, naturalnie, zechcesz przyjechać także, panie La Houssaye.

Adryan ukłonił się ceremonialnie na znak, że przyjmuje zaproszenie. Bernard zdawał się namyślać.

— Co do mnie — ozwał się niepewnym głosem — to dziś nie mogę jeszcze wiedzieć, czy będę wolnym w niedzielę. Moi koledzy po większej części uciekają na ten dzień do Paryża, o ile który znajdzie zastępcę, a ten los bardzo często pada na mnie, gdyż jeden z ostatnich przybyłem do pułku. Jutro będę miał honor uwiadomić panią, jak się ta rzecz rozstrzygnie.

Po tych słowach obaj młodzi powstali, a pani Montgodefroy rzekła przy pożegnaniu:

— Jeśli się panowie nie śpieszycie, to przejedźcie się po parku i powracajcie przez las. W ten sposób pan de Louarn pozna obie drogi, które prowadzą do Le Mûrier.

Znalazłszy się w pewnej odległości od pałacu, Bernard zapytał Adryana:

— Zdaje mi się, że między tobą a panią Montgodefroy panuje coś w kształcie wzajemnej niechęci. Co ona ci zawiniła? Czem ty względem niej zawiniłeś, lub czem omieszkałeś zawinić?...

— E! my w gruncie jesteśmy w jak najlepszej zgodzie — odrzekł Adryan — ale różnimy się zupełnie w naszych pojęciach i upodobaniach, a że ja mam niełatwy charakter, więc te różnice tem ostrzej występują między nami. Ten wzgląd zapewnia ci wyższość w porównaniu ze mną i będziesz mógł z niej korzystać, jeśli zechcesz.

— Wątpię, żebym chciał, bo ta pani, nie wiem dlaczego, wcale mi się nie podoba. Słyszałeś, co powiedziała o moim ojcu? Myślałby by kto, że razem paśli... socyalistów! Nie mogłem tak nagle odrzucić jej zaproszenia, ale bądź pewnym, że w niedzielę nie będę miał czasu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

szerokiej doniosłości, najlepszy dowód ten, iż cały zebrany fundusz został zużyty, a dzisiaj poważna prasa zarówno polska jak i rosyjska notuje z uznaniem tę ofiarność, której przyświecała dobra wola przysłużenia się naszemu przemysłowi i rolnictwu, a nie względy chełpliwości czy szowinizmu narodowościowego. Wreszcie, chociaż informacye nasze wykazują hojniejsze datki Polaków aniżeli Rosyan, to przecież nikt ze strony polskiej nie odezwał się w tonie tak nieżyczliwym dla Rosyan, jak *Wystawocznyj Listok* dla Polaków.

O stanie urodzajów dochodzą z całej Ukrainy smutne wieści. Rok zeszły na pszenicę był dla nas skąpy; tego roku zbiór zapowiada się jeszcze przynajmniej o połowę gorszy; ceny idą gwałtownie w górę, za pud płaci się już 80—87 kop. Straszliwe upały mocno zaszkodziły owsom; jeśli chłodu trochę nie dostaniemy, cały plon słońce wypali. Zbiór żyta będzie średnio dobry. Tylko bób udał się znakomicie i będzie go w tym roku znacznie więcej niż kiedykolwiek, bo ogólnie zasiano go wiele.

Echa z wód.

Połąga w lipcu.

Wielu poszukuje takiej miejscowości, gdzie mając morze i pożądane kąpiele, byliby zawsze tylko na wsi, niby na letniem mieszkaniu. Otóż Połąga (po żmudzku polonga znaczy kraniec świata) zalety te posiada i dla tego lubo od nas bardzo odległa i przedstawiająca pewne niedogodności, ma jednak swoich zwolenników, którzy raz ją poznawszy, często powracają innych nawet werbując.

Ponieważ tak jest, ponieważ oddychanie słonem powietrzem, naozonowanem przez ruch fali i burze morskie, zaleca się bardzo dla bezkrwistych (a tylu ich między nami!) kąpiele morskie, brane ostrożnie i roztropnie, są czynnikiem uzdrawiającym w całym szeregu chorób, — więc chyba warto zapoznać się cokolwiek z tym „krańcem ziemi".

Przedewszystkiem tedy droga ze Lwowa Można dojechać tu najprędzej przez Kłajpedę (Memel) odległą od Połągi tylko o mil parę, ale lepiej przez Warszawę do Libawy. Wyjechawszy wieczorem ze Lwowa, jest się nazajutrz wieczorem w Warszawie, skąd przenocowawszy, wyjechać należy pociągiem o godzinie 9 minut 20 rano, który wieczorem jest w Landwarowie, a nazajutrz przed 7 zrana w Libawie. Droga III klasą kosztuje niecałe rs. 7, II klasą przeszło rs. 10. Radzimy ją odbywać z piątku na sobotę, gdy wagony mniej bywają przepełnione.

W Libawie zatrzymują się ci wszyscy, którzy nie widzieli portu lub potrzebują wypoczynku przed drogą konną. Postój w hotelu Rzymskim lub Petersburskim, dobry jest i nie drogi (około rs. 1 k. 50 z usługą), tamże śniadanie, smaczny zaś i tani obiad w restauracyi hotelu Europejskiego. Mówi się tu przeważnie po niemiecku.

Port ciekawy dla swego charakteru handlowego, chociaż większe okręty w nim nie stają. Nie mniej tutaj się odrzeć tu i ów statek kupiecki lub holowniczy, przyczem radzimy zejść aż na dno i zobaczyć tłoki maszyn parowych z paleniskami, tak plastycznie a poniekąd nawet dramatycznie opisane w „Jack'u" przez A. Daudet'a. Wielkie parowce zaatlantyckie stają zdala od portu; ażeby je zwiedzić, trzeba nie tylko pozwolenia kapitana, ale i zarządu komory, podobnie jak port wojenny i latarnię morską może pozwolić zwiedzić tylko komendant tegoż portu.

Zdrowsi odrazu z drogi mogą w Libawie wykąpać się w morzu, o ile dzień ciepły na to pozwala; kąpiel taka po nocy spędzonej w wagonie orzeźwi i wzmocni znakomicie.

Nazajutrz rano, po wysłuchaniu Mszy św. w kościele katolickim, najętą dorożką ruszamy do Połągi. Jest to powóz już stary, ale jeszcze dobry, na mocnych, giętkich resorach, który na dwie osoby kosztuje rs. 10, na 3 aż i więcej rs. 15. Nas jechało w nim z dziećmi osób 7, oprócz woźnicy. Pod rzeczy najmuje się wózek, za który 8 — 9 rs. zapłacić trzeba.

Wyjeżdżamy z Libawy prostopadle ku morzu, nie widząc daleko drogi. Jakoś nie ma już zrazu, tylko 12 wiorst jedzie się twardym jak asfalt piaskiem wybrzeża, liznym i gładzonym nieustannie falami.

Gdy morze jest ciche, najlepiej jest wjechać w wodę, w który konie, pogrążone po kostki, dobrym idą kłusem. Gdy fala jest większa, przeszkadza jechać, a konie boczą się i uskakują ciągle.

Niezwykła to droga wielki ma urok dla mieszkańców lądu. Morze, to pluska zlekka, igrając po piasku barankowatemi bałwankami: to „gada" pomarszczone w miliony fal białawych, wyskakujących na powierzchnię, gdy ryby skrzydlate; to huczy groźnie, maszczone wiatrem, a lubo nie uczęszczane, bo ruch łodzi bardzo tu ograniczony, samo w sobie jest przecież żywiołem pełnym ruchu i życia.

Z pewnym też żalem oddalamy się od niego i po krótkiej chwili natrafiamy na lasy rządowe by w nich przebyć niemal całą pozostałą drogę, która ogółem ciągnie się mil 11 i trwa 10—11 godzin.

Na ostatnich przestrzeniach trzeba, że jest to jedna z najpiękniejszych dróg, jakiemi podróżni jeżdżą. Zamiast prostej, jak strzała, ale przecie tu nudnej szosy, wiedzie nas wężykowata droga bita, obramowana z obu stron cudownie pięknym lasem, mieszanym, głównie świerkowym. Świerk zaś, jedyny z pomiędzy drzew naszych, te posiada zalety, że bez dodatku drzew innych, tworzy skupiny, do których w parkach, dla wywołania wrażenia na widzu, używać musimy mnóstwa drzew i różnych krzewów. Bogato umajony od samej ziemi, pókiś młody, zastępuje krzaki, gdy starszy, odgrywa rolę drzew rozłożystych, tworząc główną grupę i tło zarazem. W ten sposób przechodzi piękne tamtejsze zarośla i lasy, lubo wyłącznie świerkowe, robiące jednak na nas wrażenie parku. Pomiędzy Libawą a Połągą, świerki pomieszane są z sosnami, olchami, brzozą, rzadziej dębami, a więc tem piękniejsze. Przytem tu i owdzie wychyla się z masy potężny jakiś wiekowy dąb, budząc podziw i zadowolenie, jakiego doznaje każdy miłośnik przyrody, na widok tych pięknych, a żywych pomników przeszłości.

Wśród takiego urozmaicenia i po dobrze utrzymanej (po kawałku przez każdego z właścicieli) szosie, wiorsty niepostrzeżenie mijają, i gdy w końcu ukaże się płat morza, a niedaleko wieś na 2 godziny.

Rzeczka Rąża (albo Ronża) wpada do Bałtyku pod Połągą. Dziś jest ona podobną do moczaru, zarosłego sitowiem, pałką wodną i grzybieniami, którego woda głęboka drzemie, łącząc się z morzem wąskim ledwie kanałem. Bieg wody, jak zwykle przy ujściu, gdzie się poziomy zrównały, tak jest w niej leniwy, że go dostrzedz nie sposób. Owszem, przy wietrze zachodnim, gdy fala staje się silniejsza, słone jej wody przelewają się do słodkiej Rąży, miasto żeby było przeciwnie.

Dawniej jednak musiało być inaczej. Rąża płynęła z głębi odwiecznych niebotycznych borów, które ją zasilały wód obfitością. Ujście jej tedy szerokie i głębokie stanowiło port, jedyny dla Żmudzi — naturalne jej połączenie z dalszym światem. Dopływali tu często, zwłaszcza w czasie wojen: Normandowie i Szwedzi, później kupcy hanzeatyccy i Holendrzy. Istnieje do dziś nawet niedaleko wzgórek sosnami porosły, a z morza widoczny, który zwie się „czapką holenderską" (*holländische Mütze*). Miał on takie onego czasu znaczenie dla żeglarzy, że gdy las na nim chciano wyciąć, Holendrzy zakupili wzgórek i osadzili na nim swego strażnika, by wzgórze, służące za wskazówkę przy żeglowaniu, zachować w niezmienionej postaci.

Z czasem zmieniło się tu wszystko do niepoznania. Wybrzeże Bałtyku od tej strony ciągle się podnosi i powstają na niem coraz większe mielizny. Dawny port powoli znikał, a dziś doszło do tego, że nawet płaskie barki z trudem lądować mogą pod Połągą. Wprawdzie hr. Tyszkiewicz, właściciel tego miejsca, zbudował kosztowny pomost na palach, na 1000 niemal metrów długi, pod który poszedł cały las grubych sosen i ogromne, zdala zwiezione głazy. Chodziło mu o utworzenie portu dla żeglugi osobowej i wywozu do Libawy cegły, którą wyrabiał w wybornym gatunku. Lecz morze zamuliło port, którego oczyszczanie corocznie dragami kosztować miało 8—10.000 rubli, a wobec tak znacznego nakładu musiano przedsięwzięcia zaniechać.

Przestała tedy Połąga być portem i dlatego nie można do niej, jak dawniej, z Libawy w 3 godziny dojechać parowcem, coby taniej kosztowało i niewiele znużyło. Od czasu do czasu przemknie też na widnokręgu śrubowiec jaki, na znacznej od brzegu odległości, zostawiając za sobą długą, coraz szerszą i rzedniejącą smugę dymu, ale do Połągi nie dojeżdża i zdaje się, że tak trwać będzie długo jeszcze, chyba gdyby kapryśne morze zechciało być dla tego wybrzeża łaskawszem, na co się wszelako nie zanosi.

Odróżniają starą Połągę od nowej. W pierwszej, która wita jadącego od Libawy, mieszczą się liczne domy włościan i żydów, oraz fabryka bursztynów, w drugiej osiadła ludność, żyjąca przeważnie z gości kąpielowych. Węzłem dla tych dwóch części jest kościół i park z kurhauzem.

Ogniskiem życia gości powinno być wybrzeże morza, morze bowiem jest celem, dla którego aż tu przyjeżdżają. Tymczasem oprócz kilku willi hr. Tyszkiewiczów, wszystkie domki tak są postawione, że z małemi wyjątkami z żadnego wprost morza nie widać. Owszem, chcąc się do wody dostać, przeciętnie trzeba iść 8—10 minut i to ciężką drogą. Niektórzy zamieszkali przy szosie, muszą na to zużyć kwadrans czasu. Dziwi to i korci, właściciele jednak domów tem się tłómaczą, że bliżej morza stawiać domów nie można, z powodu silnych wiatrów.

Pogodziwszy się ze stanem rzeczy obecnym, wynajmujemy domki o ile można blisko morza, a zdala od szosy i gwaru. Drzewo tu tanie, więc i mieszkania niedrogie: za domek np. z 5 pokojów płaci się 150, za większy zaś rs. 200—250. Jeden lub dwa pokoiki można wynająć za rs. 20—30 na sezon. Mieszkanie schludne i widne, wyklejone obiciami, w nich sprzęty niezbędne, ale porządne. Drzwi i okna, a nawet całe domki, wymalowane olejno i przed domami małe ganki, oplecione przeważnie przestępem (Bryonia diosca), rzadziej dzikiem winem; w ogródku sporo rezedy, groszku, georgiń, czasem nawet i goździków. A naprzeciwko piasek i sosnowe zarośla, tu i ówdzie w opłotkach parę zagonów żyta lub trochę ziemniaków, słowem do złudzenia krajobraz mazowiecki. Tylko zdala huczy morze, czasami naśladując zlekka szum górskich potoków.

Jest tu obyczaj, że gospodarz daje nietylko meble ale nawet sienniki i naczynia kuchenne, oprócz sztućców, — mało tedy z sobą wozić trzeba, bo tylko odzież, pościel i te przybory bardziej wyszukane, do których ktoś w domu przywykł. Samowar, ba, nawet lampę, coprawda nieświetną, dadzą na miejscu.

Jakkolwiek w bieżącym roku w czasie naszego pobytu mamy wyjątkową pogodę i upały, nie zaszkodzi przecie wziąć z sobą ciepłe kołdry i odzienie, bo w drugiej zwłaszcza połowie sierpnia bywają chłody, które wszakże kąpieli w południe nie przeszkadzają

Służące można dostać na miejscu, płacąc niezłej kucharce po 5—8 rs. miesięcznie. Roznoszenie produktów po domach ogranicza się do mięsa, kurcząt i pieczywa. W resztę zaopatrywać się trzeba w miasteczku, gdzie mniej więcej wszystkiego dostać można. Doktor i apteka są tu w niem także. Mięso obficiej baranie i cielęce niż wołowe, pieczywo smaczne. Drzewa trzeba sobie kupować na targu co piątek. We wtorki i piątki dowóz żywności z okolicy, a wtedy można dostać niedrogo wybornych flądęr i innych ryb morskich. Z owoców głównie czarne jagody (po 5 groszy kwarta), któremi się tu wszyscy zajadają, a które — jak wiadomo — stanowią dobry środek leczniczy na słabe żołądki. Prócz tego agrest, porzeczki, maliny, wisien trochę, później pospolite śliwki, a jabłek smacznych i tanich obfitość. Wino złe i drogie, podobnież piwo.

Woda do picia stanowi słabą stronę Połągi i okolicy. Są i tu poza szosą studnie, dostarczające wody czystej i smacznej, wogóle jednak bywa ona lekko żółtawa, z cząstkami torfowemi w zawieszeniu, niekiedy słonawa. Herbata z niej jednak dość smaczna; ale wodę surową trzeba do picia filtrować, a lepiej przegotować lub też posyłać po wodę do dalszych studzien.

Kościół w miasteczku; a że księży dość na kuracyi, więc msze w nim — zwłaszcza między godziną ósmą a pół do dziesiątej — bardzo liczne... A teraz rzecz najważniejsza: kąpiele i morze.

Dostęp do morza w Połądze nie dla każdego przyjemny: falistymi piaskami, po pagórkach i dołach; z razu wśród małych ale ładnych sosen, a dalej pomiędzy karłowatą wierzbiną, brnie się od niektórych domków kilkanaście minut do właściwego wybrzeża.

Całkiem naturalną i łatwą do zrobienia rzeczą byłoby wytknięcie paru prostopadłych alei, wyrównanie ich, nawiezienie gliny na piasek i obsadzenie choćby topolami seberyjskiemi, które tu ślicznie i szybko rosną. Przy odpowiedniej szerokości dawałyby one ze środka miasteczka wspaniałe choć dalekie widoki na wodę. Niestety, nikt dotąd o tem nie pomyślał, bo i wogóle wszelkich prac, podejmowanych gdzieindziej dla uprzystępnienia i ozdobienia wybrzeży, tu bardzo jest mało. Co Bóg dał, to jest; a choć przez człowieka niedopełniane, niemniej wszakże wspaniałe i podziwu godne. Z parku do początku pomostu chodzi tramwaj, ale słabsze osoby jeździć nim nie mogą, gdyż mocno trzęsie.

Morze pod Połągą wylewa się na płaski bardzo brzeg, z którym co do łagodności zagłębiania się i równości jedynie chyba Lido lub Ostenda mogą być porównane. Krótkie a częste fale na piasku tym drobne czynią fałdy, które — przez wodę widziane — złudnie naśladują prążki materyi zwanej morą. Siedzącemu lub chodzącemu w wodzie o kilkanaście kroków od brzegu fala taka już wystarcza. Często jednak morze jest gniewne, niecierpliwe, i wtedy smaga wałami łokciowej lub dwułokciowej wysokości, które spienioną grzywą uderzają silnie w nastawione plecy kąpiących się, roznosząc po ciele to błogie uczucie ciepła i orzeźwienia, które obieg krwi przyspiesza i porządkuje nerwy. A po to właśnie do morza się jeździ.

Bywa też, że gwałtowna nawałnica — często aż gdzieś u brzegów Szwecyi wojująca — rozdrażni i rozbuja fale do niezwykłych rozmiarów. Wtedy morze huczy jak tysiące katarakt, poryte głębokiemi bruzdami, a u brzegu marszczy się w wały wzdęte od wnętrza, które, dosięgnąwszy największej wysokości, z szumem i łoskotem rozlewają się w bluzgi białej piany. Z razu rozpędzona i gnana wichrem wełnista fala taka na płaskiem wybrzeżu traci pęd za każdą piędzią przebytą, aż bezsilna łagodnie kona na brzegu. Piasek przez nią obmyty, wyrównany jakby walcem, i gładki, ledwie dojrzanym rąbkiem ślad jej na sobie zachowuje.

Kąpiel tedy wogóle należy tu zaliczyć do wybornych. Rzadko, jedynie podczas upalnych dni lipcowych, cisza zamienia morze w wielkie zwierciadło, w białawe ramy oparu na widnokręgu ujęte, lub lekki wiatr od lądu muska je w miliony zmarszczek zaledwie dostrzegalnych do karpiowej łuski podobnych. Wiatr od morza daje zawsze falę do kąpieli wystarczającą, a często aż nazbyt silną.

Bałtyk należy do mórz martwych, a fauna jego wybrzeży wielce jest uboga. Próżno tu szukać tych krabów i skorupiaków, tych gwiazd i jeżowców morskich, wreszcie cudnych różnobarwnych i różnokształtnych muszelek, które każdy odpływ Atlantyku na brzegu zostawia. Nieliczne drobne rybki są niemal jedynymi przedstawicielami życia zwierzęcego. Co do roślin, to obfitość tu wodorostów morskich, zwłaszcza fukusów i blaszecznic, a także wodorostów czerwonych, wyrzucanych ogromnemi ilościami na brzegi, mianowicie gdy po ciszy kilkodniowej nastąpią wiatry. Te wodorosty, jak wiadomo, zawierają w sobie tyle jodu i bromu, że są źródłem otrzymywania tych pierwiastków. Jodowy też zapach czuć bardzo często nietylko na samem wybrzeżu, ale i w mieście. Ma on być podobno pomocnym w chorobach piersiowych i nerwowych, a oddychanie nim — lubo może nieprzyjemne — zaleca się.

Wolna ta flora jest zarazem dobrodziejstwem dla nadbrzeżnej ludności. Z nią to i w niej uwięzione przypływają na brzeg kawałki bursztynu, niekiedy jak bułka duże, zwykle jednak drobne. Dzieci bawią się wyszukiwaniem tej żywicy, najczęściej zbierając okruchy jedynie do kadzenia przydatne. Same zaś wodorosty (varech) służą jako nawóz, a żyta i ziemniaki raczą się na nich jak na oborniku. Jest nawet obyczaj robienia na jesieni drewnianych poprzecznych tam na wybrzeżu, za które morze dużo tych roślin napędza, skąd je potem wozami na pola wywożą.

Innego też ożywienia brak tym wybrzeżom. Do rzadkich wypadków należy tu zjawienie się parowca lub choćby krypy żaglowej na nieboskłonie. Drogi żeglugi idą po za polem naszego tu widzenia, pobliska zaś granica tamuje ruch łodzi pomniejszych. Wycieczki na morze mogą się tu jedynie odbywać z zezwolenia i pod dozorem straży pogranicznej.

Do rozbierania się i ubierania służą budki, ustawione stale na lądzie. Ma to swoje duże niedogodności, gdyż raz trzeba iść do wody od budki daleko, albowiem często piasek wejścia do budek zasypuje, lub woda tak drogę zalewa, że trzeba do nich iść boso. Za wynajęcie budki płaci się po 6 rs., a nadto każda rodzina za muzykę opłaca od 5 do 8 rs., gdy kilka w niej osób. Dla zabezpieczenia się od wiatru radzimy okrywać się prześcieradłem idąc do morza, składać je na piasku przy brzegu i okrywać się zaraz po wyjściu z wody. Nie ma tu zwykłego w kąpielach morskich podziału na stronę damską i męzką, są tylko godziny oddzielne dla każdej z 2 płci, wyznaczone na kąpiel. Za godne nagany uważamy wszakże to, że pomiędzy przestrzeniami, przeznaczonemi dla kąpiących się, wyznaczono miejsce na spacer, które aż do samych budek dochodzi. Obraża to wprost moralność publiczną, zwłaszcza wobec dozwolenia kąpieli bez kostyumów, co jest bezwątpienia wygodniejszem, ale przecież niewłaściwem.

Klimat w Połądze czysto morski, powietrze nasycone wilgocią i solą, którą, gdy wiatr od morza, czuje się na wargach. Częste i silne wiatry dają się we znaki, ale ciało hartują. Chodzenie boso dla dzieci, a brodzenie po płytkiej wodzie dla wszystkich, bardzo jest zbawienne i odporniejszem czyni na katary i zaziębienie, które nas tak powszechnie trapią. Gdy jednak w kąpielach zagranicznych widuje się całe setki dzieci i starszych, korzystających z tego „kneippowania", tu zaledwie kilka osób tej kuracyi używa.

Roślinność wybrzeża żywo przypomina florę piasków Mazowsza, jest jednak od niej bujniejsza i silniejsza. Z razu piasek porasta turzycą, której długie wlokące się kłącza idą tuż pod ziemią, wypuszczając liczne kępki w równych odstępach. Potem ukazują się suche trawy, a między niemi wydmuchrzyce (Elymus arenarius), którą i u nas na wydmach widzieć można; dalej przelot, bratki, macierzanka, komonica i nocna świeca torują drogę wierzbom i sosnom. Te ostatnie odznaczają się silnym przyrostem. Jak w ogóle na wybrzeżach Bałtyku, wszystkie niemal iglaste rosną tu wspaniale, trzeba je tylko posadzić. W samej Połądze i dalej w głąb lądu wszelkie nasze drzewa, oprócz akacyi i wątłych wiązów, wyrastają w przepyszne okazy. Jesiony i jarzębiny wyróżniają się po nad inne. Należałoby z tego korzystać i sadzić co najwięcej, a wybrzeże dziś prawie puste, zamieniłoby się w rozkoszną, zieloną oazę.

Ilość spacerów ograniczona. Wszystkie one zaczynają się lub kończą nad morzem, bo cóż jest nad nie wspanialszego? Dla nacieszenia się niem, gdy rozhukane, dla napatrzenia się kalejdoskopowej grze jego barw o zachodzie słońca, chodzi się na pomost.

Inny spacer przy brzegu prowadzi pod Birutą do pruskiej granicy, tylko o parę wiorst od kąpieli odległej.

Biruta jest nie dużym wzgórkiem, otoczonym pięknym sosnowym lasem i grubemi choć rzadkiemi sosnami porosłym. Czerwona na wzgórzu kapliczka stoi na miejscu dawnej świątyni Perkuna, gdzie Biruta strzegła świętego ognia. W kapliczce rzeźbiony Chrystus w grobie, którego oblicze wielce jest podobne do twarzy Mickiewicza. Na górkę prowadzą przegniłe i bardzo niewygodne schody; jeszcze gorsze, bo pochyłe i śliskie znajdują się od strony morza. Widok za to cudny na szmaragdowy lub ciemno-błękitny i szary albo fioletowy — stosownie do stanu nieba, obszar. I to piękne miejsce domaga się opieki i rozumnej z planem pracy. Może to się zrobi, bo hrabia buduje pałac w pobliżu na wzgórku Kiejstuta, a drogi nowego parku, na który las zamieniony zostanie, już są wytknięte.

W niepogodę chodzi się szosą ku granicy wśród lasu lub też po parku. Park ten cienisty, niewymuszony, lecz dobrze utrzymany, gromadzi większość gości, lubiących towarzystwo. Stoi w nim dogodna lecznica (kurhauz) i domki z pojedyńczemi numerami dla samotników lub nieżyczących sobie prowadzić gospodarstwa. Kuchnia w kurhauzie smaczna i niedroga, prowadzi ją zarząd majątku. Zresztą można się stołować tanio i dobrze w mieście u osób trzymających podczas roku szkolnego uczni miejscowego progimnazyum. Za 1 rubla dziennie otrzymuje się 4-krotny posiłek, w tem parę razy mięso. Muzyka wojskowa dobrze przygrywa w południe i wieczorem. Słychać ją daleko przy wiecznie wilgotnem powietrzu. Co wtorek wieczorki tańcujące od 9ej do 2ej w nocy. Z dalszych wycieczek, jechać można szosą o 2 milki do Kretyngi, gdzie nęci piękny park hr. Tyszkiewiczów lub za granicę do Kłajpedy.

Ludność miejscowa mówi po żmudzku (Łotysze też stąd blisko), często po polsku trochę i po niemiecku. Jest tak uczciwa, że się zostawia mieszkanie otwarte, bieliznę w baliach na dworze przez noc itp. Zdarzyło się jednak wyłamanie skobla od budki i zabranie przyborów kąpielowych, ale to rzadki wypadek. Wogóle Żmudzini swej reputacyi ludu bogobojnego i uczciwego przy poznaniu odpowiadają w zupełności i na poznaniu zyskują. Są uczynni, usłużni, dobrzy.

Kończę, pomijając szczegóły, bom i tak szanownych czytelników pewnie znużył.

Pobyt w Połądze dobry jest dla potrzebujących pokrzepienia w zdrowem słonem powietrzu, w miarę energicznej morskiej kąpieli, a zarazem tego co wieś daje. Jest on nie drogi, możliwy dla osób średniej zamożności i ograniczonych wymagań. Kto przywykł do komfortu zagranicznego, zagranicznych urządzeń i zabaw, ten niech od razu jedzie do Ostendy, Biarritz lub na Rugię, Sylt czy Norderney.

Z Galicyi bawi tu Andrzejowa hrabina Potocka i hrabina Raczyńska, z Warszawy hrabina Wodzińska, właściciele Połągi hrabiostwo Tyszkiewiczowie i kilka innych rodzin znanych w szerokich kołach towarzyskich.

Samochodem do Paryża.

P. Naimski pisze z Dieppe nad kanałem La Manche, 25 lipca:

O godzinie 2 minut 20 — w niespełna 2 godziny potem — dotarliśmy do granicy francuskiej.

Komora mieści się we wsi Guevrin, prawie w śródmieściu. Po przeczytaniu listu polecającego konsula francuskiego w Warszawie, urzędnik komory wyszedł obejrzeć plombę rosyjską u powozu, oraz znaki fabryczne na nim. Cała ta formalność nie zajęła nam 10 minut czasu i pojechaliśmy szparko dalej przez śmiejącą się Francyę.

Tak, śmiejącą się, bo gdy mieszkańcy innych krajów przebytych witali nas z zadziwieniem lub ciekawością, Francuzi a zwłaszcza Francuzki — wesołe i swobodne — przeprowadzały nas od wsi do wsi, od komina do komina licznych i wielkich fabryk — jednym wybuchem śmiechu serdecznego.

W Valenciennes zatrzymaliśmy się o godzinie 5 m. 20 po południu w hotelu Cognin, przebywszy od Mons 45 kilometrów, a o godz. 6 m. 20, pojechaliśmy dalej już wyborną szosą, znakomicie utrzymaną i doskonale drogowskazami zaopatrzoną. Powóz toczył się równo i szybko, to też jechaliśmy z szybkością około 30 klm. na godzinę.

O godz. 12 w nocy stanęliśmy w bramie hotelu „De l'univers" w Arras, o 154 klm. od Brukseli a 140 klm od Dieppe.

Nazajutrz w sobotę, o g. 11 m. 10 wyruszyliśmy w drogę, wjechaliśmy o g. 8 m. 10 wieczorem do Dieppe, dokąd wcześniej od nas wyścigiem z Paryża przybyło już kilkadziesiąt samochodów.

Stąd chwilowo zgromadziło się tutaj całe czoło paryskiego świata sportowego w zakresie automobilizmu z komitetem „Club automobile de France" na czele i z przedstawicielami *Figara* tudzież *Journal des sports* wspólnych organizatorów wyścigu, oraz dziesiątkiem korespondentów zagranicznych.

Po zainstalowaniu się w „Hotel du soleil d'or", podążamy na plażę, w końcu której, tuż przy przystani „Club nautique Dieppois", ubrany flagami i tarczami, z inicyałami „R. F." wznosi się pawilon z grubego nieprzemakalnego płótna na palach, gdzie umieszczono zaimprowizowaną jak sam pawilon, wystawę samochodów, przybyłych w wyścigu sobotnim z Paryża.

Od wspaniałego kanarkowego coupé barona Zuylen de Nyvelt (zięcia Rotszylda paryskiego), prezesa klubu francuskiego samochodów, przy wejściu całemi szeregami stoją nieruchome teraz szybkobiegi mechaniczne z przyklejonemi na przedzie lub w tyle numerami porządkowemi, z jakiemi startowały. Niepodobna jest w tem sprawozdaniu wymienić wszystkich form pojazdów, w jakie samochody wcielone zostały i rodzajów motorów, w jakie je wyposażono. Jest ich bowiem 59, które uczestniczyły w wyścigu w ogólnej liczbie zameldowanych poprzednio 69. Powiem tylko, że na tej wystawie, dającej doskonałe wyobrażenie o postępie techniki w danym zakresie, znalazło się motocyklów 14, powozów 2-osobowych 10, 4-osobowych 5, 6-osobowych 2 i wiele innych najróżnorodniejszych typów.

„Palacze" czy też właściciele powozów, kierujący niemi w czasie wyścigu, są czynni przy czyszczeniu, smarowaniu i nalewaniu motorów, w czem dopomaga im kilku ludzi, specyalnie wykwalifikowanych, ze służbą przywiezioną przez każdego ze sobą. Tutaj dowiadujemy się, że dystans Paryż—Dieppe najszybciej przebył na wózku trzykołowym Bollée p. Jamin w 4 godz. 13 m. 33 s., z powozów 2-osobowych najprędzej przyjechał p. Gilles Housière powozem Panhard w 4 godz. 36 m., z 4-osobowych p. hr. de Dron et Sonton w 4 godz. 19 min. 34 s. (motor parowy o sile 10 koni) i z powozów 6-osobowych p. Courtois brekiem Dlahaye w 5 godz. 58 m. 13 s.

Zaledwie rozejrzeliśmy się po wystawie jako-tako, gdy wchodzi do namiotu dwóch panów, a jeden z nich z siwiejącą już brodą pyta po polsku:

— Gdzie są panowie Grodzki i Naimski?

— Ach, jesteście! — dodaje po chwili, gdy ukłonem stwierdzamy obydwaj naszą obecność, i po: „Jak się miewacie? Brawo Warszawa!" serdecznie się z nami, po polsku prawdziwie, całuje.

Był to p. Aleksander Luceński, naczelny administrator i współwydawca *Journal des sports* którego współredaktor, p. J. H. Aubry, przedstawiciel *Cyklisty* w Paryżu, a doskonały dziennikarz, był właśnie owym drugim panem, dopytującym się o nas.

Po serdecznych powitaniach i krótkiej relacyi z naszej podróży — następuje prezentacya p. baronowi Zuylen de Nyvelt, bardzo zadowolonemu z naszego przyjazdu i oświadczającemu p. Grodzkiemu, że za tę podróż „Automobile Club de France" nada mu specyalne odznaczenie.

W niedzielę od rana powóz p. Grodzkiego znalazł się na pierwszem miejscu w pawilonie wystawy, oglądany przez setki zwiedzających ją Paryżan i kuracyuszy, których kokietował dużą wydrukowaną czarną na białem na froncie kufra etykietą: „Varsovie-Dieppe-Paris". Wiele osób z niedowierzaniem pytało, czyśmy podróż tę odbyli rzeczywiście i w jakim przeciągu czasu?

W południe p. Grodzki woził prasę paryską swoim samochodem do pobliskiej nadmorskiej miejscowości Pourville, gdzie odbyło się wspólne śniadanie członków francuskiego „Automobile clubu".

O godz. 4-tej po południu zaś całe Dieppe: morskie, handlowe, kąpiące się i okoliczne, wyległo na plażę, gdzie szeregiem w rozmaitych ewolucyach defilowały wszystkie pojazdy z wyścigu, przybrane w różnobarwne chorągiewki, insygnia nagród z i inicyałami *Figara* i *Journal des sports*, a napisem „Courses Paris-Dieppe 24/VII 1897".

Pośród samochodów powóz warszawski z całą trójcą podróżnych, zwracał powszechną uwagę.

Przy wyjeździe, jakaś ładna Polka z synkiem stojąca, posłała: „Dzień dobry panie Grodzki!" właścicielowi powozu, dalej dwóch młodych Polaków, z pośród publiczności z piękną panną czy panią, z nimi będącą, zawołało:

— Górą Warszawa! Brawo Warszawa! Wiwat Grodzki!...

A jeszcze potem jakiś kuracyusz Polak, starszy człowiek, wypytywał nas o szczegóły podróży.

Czy można wyobrazić sobie radość Warszawiaków nad morzem na widok Warszawiaków, którzy aż tutaj przybyli, aby im sprawić taką „uciechę".

To odczuje tylko nasz rodak.

Jutro rano wyjeżdżamy z Dieppe do ostatecznego kresu podróży — do Paryża, w towarzystwie dwóch znakomitych „palaczy", pp. Lemaitre'a i D'Orio, którzy prowadzić nas mają do Paryża przez Rouen szosą, jaką szedł tor wyścigu, mierzący 170 klm.

Jednym tchem przebędziemy ten dystans i staniemy w Paryżu w poniedziałek wieczorem.

Jakiż to będzie miły odpoczynek po przebyciu bez mała 2000 kilometrów w 11 dniach, nie licząc dni spędzonych w Berlinie, Wesel i Brukseli.

Powodzie.

Trwające ciągle opady atmosferyczne sprawiają, że powodzie, o których donosiliśmy przed kilku dniami, nie ustały, owszem sytuacya pogorsza się z każdą chwilą. Oprócz tego mnożą się też ciągle wieści o nowych powodziach tak, że klęski te przewyższają w tym roku wszystko, co nam wiadomem z kilkunastu lat poprzednich.

I tak w Wiedniu woda nie tylko nie opadła, ale owszem podnosi się jeszcze ciągle i jak przypuszczają inżynierowie wiedeńscy, stan ten trwać będzie do środy. Rozlany szeroko Dunaj potworzył po placach ogromne, nieraz na metr głębokie jeziora. Obok t. zw. „Reichsbrucke" wystąpił Dunaj z brzegów tak bardzo, że część Prateru i plac arcyksięcia Karola stoją pod wodą. Holowniki stojące zazwyczaj na kotwicy przy brzegu zdają się teraz sterczeć ze środka koryta. Domy oddalone o 120—150 metrów od brzegu rzeki, stoją teraz pośrodku wielkich jezior, po których pływają czółna wywożące z tych domów cenniejsze ruchomości.

Hiobowe wieści nadchodzą też z miejscowości położonych tuż pod Wiedniem, jak Nussdorf, Florisdorf, Kaiser Ebersdorf, Simmering, Mitterweg. W miejscowościach tych woda bądź poprzerywała wały ochronne, bądź grozi im lada chwila przerwaniem. Tam, gdzie się to nieszczęście już stało, tam ratują ludzie z domostw co się da. Gdzie zaś jeszcze wały jako tako się trzymają, tam wytężono całą energię, aby temu nieszczęściu zapobiedz. Wojsko, robotnicy wynajęci, straż pożarna i wolontaryusze z publiczności pracują na wyścigi, ażeby rozszalałego żywiołu nie wypuścić za wały ochronne. W Wiedniu i innych miejscach nawiedzonych powodzią, potworzyły się stałe komitety ratunkowe. Akcyą ratunkową zajęły się najwybitniejsze osobistości miejscowe, a ze szkatuły cesarskiej i od mnóstwa osób zamożnych płyną datki na cele tej akcyi.

Z bardziej oddalonych miejscowości nadchodzą również wieści, że powodzie ciągle się wzmagają i woda w wezbranych rzekach i potokach ciągle się wznosi. Z Klosterneuburga donoszą, że stan wody jest tak wysokim, jakim nie był nigdy od czasu wybudowania kolei Franciszka Józefa. We wszystkich magazynach kolejowych na tej linii stoi woda na metr wysoko. To samo dzieje się w Stockerau.

W Ischlu urządzono w parku cesarskim festyn na rzecz dotkniętej powodzią ludności, a protektorat nad nim objęła Cesarzowa. Z powodzi nie omieszkali skorzystać ludzie, którzy ze wszystkiego umieją korzystać. Oto wskutek trudności dowozu artykułów spożywczych podnieśli właściciele kilku sklepów ceny tych artykułów do sumy tak bezczelnie wysokiej, że

władze uznały za stosowne zamknąć te sklepy. Zresztą w Ischlu woda odrobinę opadła, tak że z Kaltenbachu wypuszczono przedwczoraj pierwszy pociąg na linii biegnącej do Salzburga.

Z Gmunden donoszą, że w Grünau wezbrana gwałtownie woda porwała całą restauracyę i to tak szybko, że siedzący w niej ludzie z trudem tylko zdołali się wyratować. Zas Kaltenbachski fabrykę kos zniosła powódź tak od reszty świata, że robotnikom jej głód począł zagrażać. Na prowizorycznym moście pontonowym zdołano im jednak dowieźć trochę żywności.

W Czechach powodzie również poczyniły straszne spustoszenia. W Bodenbachu wezbrał suchy zazwyczaj latem potok Eylaubach tak ogromnie, że porwał szlamistemi falami milowe przestrzenie, zabierając dobytek ludzi a nawet i ludzi, którzy nie zdołali uciec dość szybko. Roboty około gotowych już budujących się linij kolejowych będą poniszczone częściowo, bądź zupełnie. Mołdawa wezbrała tak dalece, że szerokością przekroczyła trzykrotnie zwyczajny swój wymiar. Budziejowice stoją do pół metra pod wodą. Szkody ogromne, gdyż mieszkańcy zostali powodzią zaskoczeni we śnie i zdołali zaledwie życie uratować. Pociągi zajeżdżające na dworzec budziejowicki brnęły do osi w wodzie. Rozmitał i Strakowic stały przez 24 godzin pod wodą, a po opadnięciu jej tworzyły ulice rozpadliny głębokie na metr. W Górach Olbrzymich wezbrane wody porwały 17 ludzi.

Szląsk też ucierpiał od powodzi. W północno-zachodniej jego części całe wsie nurzają się w nowo powstałych jeziorach. W Setzdorfie wezbrał malutki zwykle potok Weidenbach tak silnie, że płynął 200 metrów szerokiem korytem. Komunikacya kolejowa i kołowa w wielu miejscowościach zupełnie przerwana.

Cesarz, który podczas tegorocznej katastrofy powodzi znajdował się niemal w środku terenu dotkniętego katastrofą, pośpieszył jak zwykle z hojną pomocą dla biedaków tą katastrofą dotkniętych. Co chwila płyną nowe datki na powodzian z prywatnej cesarskiej szkatuły, a w pomocy tej wspierają wspaniałomyślnego Monarchę i członkowie jego dostojnej rodziny. Do tego przyłącza się obecnie i rząd. Prezydent ministrów i minister spraw wewnętrznych Kazimierz hr. Badeni, zaraz po swym powrocie do Wiednia, wydał reskrypt do władz, aby tam, gdzie niebezpieczeństwo grozi jeszcze, użyły wszelkich środków do zapobieżenia katastrofie i jej skutkom. Polecając w tym reskrypcie starania o jak najrychlejsze przywrócenie przerwanej komunikacyi, włożył hr. Badeni na władze poszczególnych prowincyi obowiązek, zaraz po usunięciu pierwszych skutków katastrofy, podać rozmiary klęsk spowodowanych powodzią i poczynić odpowiednie wnioski. Hr. Badeni porozumiał się też już z ministrem finansów drem Bilińskim, ażeby po nadejściu wniosków od naczelników prowincyi, zainicyować odpowiednią państwową akcyę ratunkową.

KRONIKA.

Lwów 4 sierpnia.

Prezydent m. Lwowa Dr. Godzimir Małachowski, który wyjechał za urlopem, bawi w Scheveningen, w Holandyi.

Zgon Asnyka. Rada miasta Krakowa uchwaliła urządzić własnym kosztem pogrzeb poety i złożyć jego zwłoki w kościele na Skałce. Zwłoki zabalsamuje prof. Browicz. Artysta rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki zdjął maskę pośmiertną. Mistrzem ceremonii pogrzebowej będzie dr. Weigl.

Wiceprezydent miasta p. Szajer wysłał telegram i uprosił prezydenta m. Krakowa, p. Friedleina, o złożenie w imieniu stolicy wieńca z napisem: „Adamowi Asnykowi, znakomitemu mistrzowi słowa — Rada miasta Lwowa".

Z Towarzystwa Dziennikarzy Polskich. Prezydyum Towarzystwa wystosowało do p. Włodzimierza Asnyka telegram następującej treści: „W żałobie, jaka cały naród pokrywa, bierzemy najszczerszy udział, łącząc głębokie współczucie dla syna". Na pogrzeb s. p. Adama Asnyka udają się do Krakowa: Liberat Zajączkowski, prezes i Stanisław Schnür-Pepłowski, sekretarz Towarzystwa.

Pomyślne. Opawska Rada szkolna krajowa dla Księstwa Cieszyńskiego pozwoliła na otwarcie trzeciej klasy przy polskiem gimnazyum w Cieszynie począwszy już od września br.

Eden-teatr. Popyt za biletami do Eden-teatru był w ostatnich dniach tak wielki, że w sobotę i niedzielę na kilka godzin przed rozpoczęciem przedstawienia, musiano wywieszać nad okienkiem kasy tablicę z napisem: „Wysprzedano". Nic dziwnego, bo zestawienie nowego programu jest nadzwyczaj udatne. Wyróżnia się zręcznością trupa Phoites-Gazella ze swymi elastycznymi członkami. Nowe sztuki magiczne przedstawiane przez dyrektora Schenka, jazda nadpowietrzna na welocypedzie, a przedewszystkiem galerya obrazów nowoczesnych mistrzów wywołują ogólny podziw i burze oklasków.

Łapka na ulicy Sykstuskiej. Ostrzegamy publiczność, że naprzeciw cukierni p. Bienieckiego szyna kolei elektrycznej, pierwsza od cukierni, wystaje ponad ziemię na 3 centymetry. Onegdaj pewien pan potknął się w biały dzień o ową szynę, ale przypłacił tylko szkiełkiem w pince-nez, które mu upadło. Wczoraj o godzinie 5 minut 20 po południu pewna pani padła jak długa na poprzek toru tramwajowego, przyczem skaleczyła się w rękę i odniosła lekkie stłuczenie kości licowej. Co się dzieje wieczorami w tem miejscu, nie wiemy. Ostrzeżenie nasze stósujemy także do władz, które mogą także wpaść w ten samotrzask, nastawiony przez własne ich niedbalstwo.

Tadeusz Popiel, zaszczytnie znany pejzażysta i współpracownik panoram, bawi zawsze jeszcze w Petersburgu, gdzie w kościele św. Katarzyny wykańcza dwa olbrzymie obrazy ścienne: jeden wypełnia całą kopułę i przedstawia „Adoracyę św. Ducha," drugi „Wieczerzę Pańską". Prócz tego ozdobił p. Popiel kościół św. Katarzyny freskami, za które, równie jak i za obrazy, uzyskał pełne uznanie komitetu kościelnego. Z początkiem sierpnia wraca do kraju i spędzi parę tygodni w Zakopanem; w czasie tym wykona zamówione dla Moskwy plafony, które malowane być mają na płótnie.

† Ks. Leon Stokowski. W Sokołowie koło Rzeszowa zmarł miejscowy proboszcz, kanonik-jubilat, ks. Leon Stokowski, w 91 roku życia. Święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1831. W roku 1847 został wysłany na Spielberg za kazania o rozruchach ludowych i jego przyczynach. W roku następnym odzyskał wolność. Od października 1848 aż do zgonu bez przerwy był proboszczem w Sokołowie, i do ostatnich dni pełnił swe obowiązki. Choroba sędziwego a zacnego kapłana trwała zaledwie kilka dni.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada miasta Biecza p. Adamowi Gubacie staroście powiatu gorlickiego.

Strejk piekarzy wybuchł w Tryjeście. Aby ludności nie pozostawić bez chleba, rząd przeznaczył piekarzy wojskowych dla użytku piekarń prywatnych na czas bezrobocia.

Zaprzeczenie. Dnia 30 lipca odbyła się w Lublanie konferencya wszystkich słowiańskich posłów do Rady państwa, na którem wyrażono między innemi przekonanie, iż wśród dzisiejszych stosunków koniecznem jest utrzymanie obecnej większości parlamentarnej.

Zdając sprawę o tej konferencyi *Neue Freie Presse* doniosła, że poseł Wojciech hr. Dieduszycki nadesłał na ręce jej przewodniczącego, posła pana Lustercica list, w którym zapewnił Słoweńców o solidarności Czechów i Polaków ze Słoweńcami.

Wobec tego oświadcza hr. Dieduszycki, że *Neue Freie Presse* podała treść jego listu niedokładnie. A oto sprostowanie hr. Dieduszyckiego: „Pisałem istotnie do posła Sustercica, ale żadnych przyrzeczeń ani w imieniu Polaków, ani tem mniej w imieniu Czechów, nie dawałem i oczywiście dawać nie mogłem, nie mając do tego upoważnienia. Stosunek innych stronnictw autonomicznych do Słoweńców jest określony programem większości, a tylko brak umiarkowania i koniecznej politycznej rozwagi mógłby narazić na niebezpieczeństwo związek większości, o której się należy spodziewać, że będzie obstawać przy wszystkich słusznych, a zgodnych ze wspólnym programem, żądaniach klubów, w skład większości wchodzących".

Chiński konsulat ma powstać z końcem b. r., w Warszawie. Będzie on wyłącznie tylko pośredniczył pomiędzy firmami handlowemi i przyczyniał się do rozwoju zbytu towarów warszawskich na rynkach Chińskich.

Ulica Leona Sapiehy, stanowiąca w dni słotne nieprzebytą błotnistą kałużę, miała otrzymać trotuary. W pozycyi wydatków budżetu nadzwyczajnego na rok 1897 z dziesięcio milionowej pożyczki inwestycyjnej mieści się kwota 1.891 zł. na chodniki dla ulicy Sapiehy. Lato mija, a do położenia chodników magistrat się nie zabrał. Dlaczego?

Nowa szkoła koszykarska. Dnia 18 lipca b. r. odbyła się w Strychańcach (pow. tłumackim) solenna uroczystość poświęcenia i otwarcia krajowej szkoły koszykarskiej, przy współudziale Delegacyi i Rad powiatowych okolicznych, starosty z Tłumacza, władz rządowych, licznego Duchowieństwa, sąsiadów i ludności wiejskiej, w liczbie około 2.000 przybyłych. W czasie nieszpornego Nabożeństwa w miejscowej cerkwi, jako też przy akcie poświęcenia i otwarcia urzędowego szkoły, z 2 tysięcy piersi wznoszono entuzyastyczne okrzyki na cześć Monarchy, pod którego dobrotliwem panowaniem co chwila powstaje w kraju tyle pożytecznych instytucyi — i zabrzmiały poważne tony muzyki na nutę: „Boże wspieraj!" i dźwięczne narodowe śpiewy: „Mnohaja lita" po kilkakroć powtarzane. P. Szelecki c. k. notaryusz z Tyśmienicy Delegat Rady powiatowej tłumackiej, podniósł zasługi właścicielki Strychaniec pni Sydonii Pieńczykowskiej, której gorliwym staraniom zawdzięcza miejscowość wprowadzenie w życie szkoły koszykarskiej, mającej na celu popieranie przemysłu krajowego, kształcenie się w tym zawodzie, stały wreszcie zarobek dla miejscowej i okolicznej ludności. W pięknej, kwiecistej, a serdecznej przemowie zaznaczył miejscowy proboszcz gr. kat. ks Sofron Lewicki korzyści materyalne i moralne dla rodzin wiejskich, które w tej szkole znajdą stałe zatrudnienie i gorąco zachęcał do pracy i wytrwałości w kierunku rozwoju przemysłu domowo-krajowego. Budynek, w którym mieści się nowo założona szkoła koszykarska, gustownie i suto do tej uroczystości został przystrojony w zieleń, kwiaty, wstęgi, a powiewały na nim flagi: austryackie, polskie, ruskie i papiezkie (Ojciec Święty nadesłał był przedtem pisemne błogosławieństwo dla tej nowo kreowanej instytucyi).

Rzeczona szkoła uzyskała subwencyę Wydziału krajowego, który, w myśl uchwały sejmowej, utrzymuje nauczyciela i sekretarkę, administratorkę, która zarządza kasą, prowadzi rachunki i korespondencye, — zaś kuratorką zakładu zamianował właścicielkę Strychaniec, p. Sydonię Pieńczykowską, która z całą energią i oddaniem się, urząd ten sprawuje, nieszczędząc pracy i starania, aby ten w zawiązku będący zakład, zakwitł w przyszłości w całej pełni.

Za inicyatywą marszałka powiatu stanisławowskiego, pana Stanisława Brykczyńskiego, zawsze i wszędzie gorliwie i patryotycznie popierającego wszelkie w kraju istniejące i tworzyć się mające korzystne instutucye, uchwalił tamtejszy Wydział powiatowy dla szkoły koszykarskiej w Strychańcach, coroczną subwencyę w kwocie 320 koron, dając bodźca innym do popierania tych czynników, których rozwój bogactwo kraju i byt materyalny pojedyńczych podnosi, a daje znaczny zarobek i utrzymanie pracującej klasie, żywotną kwestyę wobec tak opłakanych stosunków agrarnych dla niej stanowiących.

Po ukończonych ceremoniach pani Sydonia Pieńczykowska podejmowała po staropolsku w swoim dworze licznie zebranych gości obiadem o godz. 8 wieczorem. Obiad, przy dźwiękach wybornej muzyki, salwach moździerzowych i serdecznych toastach przeciągnął się do późna. Uczestnicy rozjechali się pod miłem wrażeniem tak pięknie odbytej uroczystości i gościnnego w domu kuratorki przyjęcia.

J. M.

Z Kałusza nam piszą: W numerze 168 *Przeglądu* jest zamieszczony w kronice artykulik, którego autor chce przystroić nową Radę gminną kałuską w cudze piórka, twierdząc, że pierwsze swe wystąpienie zaznaczyła monumentalną budową szkoły. To jest nieprawdą. Zasiadam także w nowej radzie, ale nie słyszałem, aby sprawa budowy omawianą była. Mieliśmy dopiero dwa posiedzenia: pierwsze w celu ukonstytuowania się, drugie w celu złożenia przyrzeczenia. Sprawą budowy szkoły interesowała się ustępująca Rada i trzeba jej wyrazić uznanie, iż tak pięknie żywot swój zakończyła, pomimo że w przeprowadzeniu tego dzieła ciągle jej władze administracyjne trudności stawiały, pragnąc w miasteczku ubogiem nie budynku szkolnego, lecz pałacu. Na szczęście wdała się w to władza krajowa, a trutynując kosztorys, wszelkie sztukaterye w budynku poobcinała, redukując go z kwoty 70.000 zł. do połowy i dając z funduszu krajowego subsydyum 12 000 zł. Tak więc stara Rada w porozumieniu z władzą krajową dzieło to do skutku doprowadziła. Żąda nieznany mi korespondent, ze sprawami gminy nieobeznany, od nowej Rady wodociągów, a za to obiecuje miasteczku dać wojsko. Dobra to i wygodna rzecz wodociągi, ale mógłżeby je posiadać ubogi Kałusz, skoro Kraków i Lwów do dziś dnia zdobyć się na nie niemogą? Na budowę szkoły Kałusz na loteryi nie wygrał; będą musieli opodatkowani 40 procent na umorzenie zaciągniętej pożyczki corocznie składać po myśli ustawy, a na wodociągi musieliby chyba realności swoje sprzedać i do Ameryki wyemigrować. Wojsko do nas i bez wodociągów przyjdzie, skoro tylko korpus w Stanisławowie utworzonym zostanie. Znajdzie się dla niego woda zdrowa, źródlana, której przecież podostatkiem mają mieszkańcy przedmieścia Zagórzańskiego, Doliniańskiego i Wojniłowskiego. Nie posiada jej tylko śródmieście, a przecież w śródmieściu nikt koszar nie buduje. Nie o wodociągi do nowej Rady się zwracajmy, lecz o rzeczy równie ważne, a mniejsze wydatki za sobą pociągające, jak: wykopanie kilku publicznych studzien w rynku i na placach, zasklepienie dołów w dzielnicy żydowskiej, zorganizowanie policyi i ogniowej straży miejskiej, gdyż straż ochotnicza więcej służy dla parady, niż dla bezpieczeństwa, wreszcie o trzymanie w magistracie urzędników pracowitych i gorliwych. Wszystko to staćby się mogło, gdyby nowa Rada daleką była od egoizmu. Ale słyszeliśmy, że radni wpływają już na burmistrza, aby zakładał trotuary w tych stronach miasta, gdzie oni mieszkają, aby im było wygodniej chodzić i ażeby mieszkania w ich domach miały większy pokup. I podobno tak będzie, gdyż już wożą kamienie na trakcie doliniańskim, gdzie mieszka dwóch radnych. Gdyby przynajmniej przy tej sposobności wywieziono niechlujstwo i zasklepiono w tej stronie jary i doły, niktby przynajmniej rajców miasta o egoizm posądzić nie mógł.

X. Józef Szeligiewicz, rz. kat. proboszcz

Pożar nawiedził wieś Dzików pod Tarnobrzegiem aż trzy razy w przeciągu dwóch ostatnich dni lipca i zniszczył 22 zabudowań gospodarskich.

Piorun w kościele. W niedzielę 1. bm. uderzył piorun podczas nieszporów w kościół rz. kat w Jaśliskach w powiecie sanockim. Przeszedłszy po łańcuchu podtrzymującym główny świecznik, wpadł piorun między modlących się, gdzie jedną kobietę Maryę Winnicką zabił na miejscu, dwie zaś inne silnie poraził. W kościele powstała ogromna panika. Ludzie uciekali i cisnęli się ku wyjściu, wskutek czego kilka osób odniosło rany.

Samobójstwo. W Budapeszcie odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Jan Silnicki z Tarnowa. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Zbrodniarz z miłości. Do czego przyprowadzić może szał miłosny, niech posłuży za dowód następujący wypadek, który się przytrafił w Tulonie. — Robotnik ciesielski Cesarini, rodem z Korsyki, spotkał na spacerze pannę Barnier, córkę dra Barnier, człowieka zamożnego i ogólnie poważanego. Pannę Barnier zaliczają do piękności tulońskich. Włoch zakochał się w niej szalenie i wnet ubrany odświętnie zjawił się w mieszkaniu doktora.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał doktor.

— Ubóstwiam pańską córkę i proszę o jej rękę — odpowiedział Cesarini.

Doktor spojrzał na niego, roześmiał się i kazał mu iść precz.

Od tej pory zasypywany był listami Cesariniego. Jedne błagające, drugie grożące, a we wszystkich niefortunny kochanek żądał oddania mu córki doktora za żonę. Zniecierpliwiony p. Barnier zażądał opieki policyi. Komisarz zbadał całą sprawę. Kazał aresztować Cesariniego, a sąd skazał go na sześć miesięcy więzienia.

Cesarini zaprzysiągł zemstę i po opuszczeniu kryminału zaczaił się na dra Barniera. Strzelił do niego dwa razy z rewolweru i ciężko zranił. Nie był jeszcze zadowolony i w nocy zakradł się do mieszkania rannego. Zaczął go bić kijem okutym w żelazo, a gdy na krzyk chorego zbiegli się domownicy, dobył rewolweru i strzelił kilka razy. Zranił pannę Barnier i siostrę doktora. Następnie wyskoczył przez okno i uciekł. Złapano go dopiero na drugi dzień. Stawił opór i zranił żandarma.

Onegdaj przed sądem przysięgłych departamentu Var rozpoczął się jego proces. Odpowiada ze wstrętnym cynizmem i żartuje sobie z trybunału. Ponieważ nie zaszedł przypadek śmierci, gdyż wszyscy ranieni przez niego powrócili do zdrowia, nie zostanie skazany na śmierć. Otrzyma 15—20 lat galer i wyślą go do Kajenny.

Z dramatów życia. W Salmansdorf, tuż pod Wiedniem osiedlił się przed dwudziestu laty Leopold von Löwenthal. Ożenił się z wdową Grübner i wkrótce kupił ładną willę. Przemienił ją na hotel elegancki, otworzył pierwszorzędną restauracyę i wybornie mu się powodziło. Do swego tytułu szlacheckiego przywiązywał wielką wagę i wpadał literalnie w pasyę, jeżeli go kto nie tytułował: panem von Löwenthal. Jakkolwiek liczy już lat 70, a żona jego 42, małżeństwo żyło ze sobą dobrze i na pozór wydawało się bardzo szczęśliwe. Gdyby kto jednak zajrzał do wnętrza duszy pana von Löwenthala, przeraziłby się i cofnął. Spostrzegłby tam bowiem straszne piekło i pożałowałby nawet tego biednego człowieka, jakkolwiek zasłużył on w zupełności na swój los. Przedewszystkiem nazwisko Löwenthal było przybrane i w rzeczywistości, właściciel hotelu pod „trzema lwami" nazywa się Godfryd Tichy. Następnie popełnił bigamję, gdyż pierwsza jego żona żyje i cieszy się najlepszem zdrowiem.

Tichy, zmieniając nazwisko i miejsce zamieszkania, sądził, że się pozbędzie swojej pierwszej małżonki. Omylił się jednak. Zacna połowica wyszukała go i pewnego pięknego poranku zjawiła się w Salmansdorf. Kazała sobie otworzyć gabinet, zażądała dobrego śniadania i po jego spożyciu kazała zawołać gospodarza.

— Czego sobie pani życzysz? — zapytał Ritter von Löwenthal.

— Jakto drogi mężusiu! Nie poznajesz swojej ukochanej małżonki?

Szlachcic zbladł i zaczął się trząść jak w febrze.

— Ależ uspokój się drogi Gotfrydzie — rzekła łagodnie pani Tichy. Nie przyjechałam robić ci przykrości. Jesteśmy ludźmi i możemy się porozumieć.

Nastąpiła długa rozmowa. Pani Tichy zabrała 10.000 złr. i wieczorem opuściła Salmansdorf.

Od tego czasu syn Tichego z pierwszej żony, Józef, pomocnik maszynisty kolejowego, zaczął dość często odwiedzać swego rodzica. Każdym razem wywoził po kilkaset złr. Tichy jęczał, narzekał, ale dawał, bo miecz Damoklesa wisiał nad jego głową i wiedział dobrze, że jeżeli zamknie kasę, zbrodnia wyjdzie na jaw.

Przed kilkoma dniami przyjechał Józef Tichy i zażądał 5.000 złr.

— Nie mam — brzmiała krótka odpowiedź.

— Jeżeli nie masz, to pójdziesz do kryminału — odparł cynicznie młody Tichy.

— Ja sam się oskarżę. Dłużej już z wami wytrzymać nie mogę. Zniszczyliście mnie doszczętnie.

Co rzekł, to i zrobił. Na drugi dzień udał się do Wiednia. Poszedł do prokuratora i zeznał, że popełnił bigamję i używał nazwiska fałszywego. Zaaresztowano go natychmiast i chociaż jego druga żona chciała złożyć 30.000 złr. kaucyi, nie wypuszczono go już na wolność.

Bawienie się rewolwerem skończyło się znów smutnie. Synek pani Bardaszowej, dyrektorki szkoły św. Magdaleny, bawił się onegdaj w Brzuchowicach, gdzie państwo Bardaszowie przepędzają lato, z swoją 13 letnią siostrzyczką. Wśród zabawy chwycił za rewolwer i myśląc, że nie jest nabity, groził siostrze, że ją zabije. Siostrzyczka uciekała ze śmiechem. Nagle huk wystrzału położył kres zabawie. Na szczęście strzał nie był śmiertelny. Dziewczynka ma strzaskane dwa palce u prawej ręki i policzek nieco poparzony od prochu.

Olbrzymi pożar nawiedził Moskwę w dniu 27 zm. Ogień wybuchnął na stacyi towarowej kolei Moskiewsko kazańskiej; słup dymu był tak wysoki, iż go z oddalenia paromilowego było dokoła widać. Pożar rozszerzył się szybko i z taką gwałtownością, że ratunek został utrudniony. W okamgnieniu zajęły się składy, w których znajdowały się różne towary, jako to: mąka, owies, kasza, masło, bawełna, wełna i skóry. Z jednej platformy ogień przeniósł się na drugą, gdzie leżały droższe towary; dalej stanęły w ogniu i ne platformy na przestrzeni jednej wiorsty. Rozlało się tedy całe morze ognia, pochłaniając wszystko, co napotykało po drodze. Oprócz towarów paliły się wagony w całych stojących tam pociągach; wagony te były w części zapełnione towarami, oraz bydłem na rzeź przeznaczonem. W ostatniej chwili zdołano z wagonów wyprowadzić 25 sztuk wołów, reszta znalazła śmierć w ogniu. Pożar byłby spowodował straszną katastrofę, gdyby nie zdołano zepchnąć czterech wagonów, naładowanych prochem; byłaby wynikła eksplozya przerażająca. Przytomności umysłu kilku ludzi zawdzięczają wszyscy uniknięcie nieszczęścia. Na miejsce pożaru zjechały się wszystkie oddziały straży z sikawkami parowemi. Powoli ogień pod potokami zalewającej go wody zmniejszał się, ale długo jeszcze stacya się paliła; wszystko prawie, co się na platformach znajdowało, uległo zniszczeniu. Oprócz tego pastwą ognia padło 100 wagonów, z których kilka napełnionych było naftą. Aby uniknąć wybuchu, straż otworzyła w cysternach klapy — i nafta w nich wypaliła się do ostatniej kropli. Nie można jeszcze w tej chwili obliczyć dokładnie strat poniesionych, w każdym jednak razie są to straty milionowe. Towary spalone były asekurowane; ubezpieczone też były budynki.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 15, w poł. + 18 R.. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda.

Zachęcające. Rzecz dzieje się w restauracyi

G o ś ć. Doskonałą dziś macie zupę rakową. Daj mi jeszcze talerz, a te skorupki wyrzuć po drodze.

S ł u ż ą c y. O, proszę pana, u nas się nic nie wyrzuca. A z czegożby jutro była zupa rakowa!..

Głosy publiczności.

Szczodra ofiara. Dyrekcya asekuracyi krakowskiej złożyła w zarządzie głównym Towarzystwa Pedagogicznego na rzecz burs nauczycielskich kwotę 589 zł 50 ct., jako 3 pct. od zaliczki uiszczonej w roku zeszłym za ubezpieczenie budynków szkolnych w Galicyi.

Za tak hojny dar składa zarząd główny Tow. Pedagogicznego Dyrekcyi asekuracyi krakowskiej imieniem obdarowanych najszczersze podziękowanie, wyrażając nadzieję, że kierownicy szkół w interesie własnym dołożą wszelkich starań, żeby budynki szkolne ubezpieczane były li tylko w krajowej instytucyi asekuracyjnej, która tak szczodrze zasila fundacyę bursową dla dzieci nauczycielskich.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 sierpnia.

(*Z.*). Z targu berlińskiego wyszedł dziś silny impuls do zwyżki. Dziwiło to tem bardziej, że zaniepokojenie wywołane wypowiedzeniem traktatu handlowego przez Anglię jeszcze nie ustało zupełnie. Atoli miała giełda berlińska specyalne powody do zwyżki. Oto prowizoryczne obliczenia dochodów rozmaitych przedsiębiorstw zwłaszcza kopalnianych i fabrykacyi żelaza wykazują podobno kolosalny wzrost dochodów. Jedno z najpierwszych tego rodzaju przedsiębiorstw niemieckich, bochumskie towarzystwo eksploatacyi kopalni, lejarni i hut żelaza da podobno swym akcyonaryuszom w tym roku o 5%, wyższą dywidendę. Akcye te podskoczyły o 17%. I na naszym targu pokrewne walory uzyskały znaczną zwyżkę zwłaszcza praskie akcye żelazne, tudzież akcye kopalń węgla.

Zwyżka tych akcyi wpłynęła także na zwyżkę akcyi kolei czeskich, gdyż węgiel jest głównym przedmiotem ich transportów. Ku końcowi wytworzył się także dość żwawy ruch w kredytach i Statsbahnach.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 369·—, węgierskie 396.50, Auglobanki 161·75, Uniony 299·75. Bankvereiny 259·75, Länderbank 240·—, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 283·50, Elbethale 257·—, Renta papierowa 102·10, srebrna 102·20, austryacka złota 123·30 austr. renta wal. kor. 101·35, węgierska złota 122·65, węgierska renta wal. kor 100·20, dukat 5·63, 20-frankówka 9·51½, mark. 11.73 —, ruble 1.26½.

Cena zboża. Wiedeń 2 sierpnia. P s z e n i c a na jesień 10·93—10·97, na wiosnę 11·06—11·08. Ż y t o na jesień: 8·59—8·60, o w i e s na jesień 6·31, k u k u r u d z a na wrzesień-październik 5·01, r z e p a k 13·40—13·80.

Dziś notowano pszenicę 11·19—11·26, żyto 8·77—8·85, owies 6·36, rzepak 13·80—13·90.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 2 sierpnia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 995, węgierskich 3820 i niemieckich 294, razem 5109 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 31, dobre ciężkie 32 do 33, osobliwe prima 34 do 35, wyjątkowo 36 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł., wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 4 sierpnia. Cesarz dał z prywatnej szkatuły 20.000 zł. dla nawiedzonej powodzią ludności Austryi Dolnej.

Londyn 4 sierpnia. W Izbie niższej sekretarz stanu Curzon oświadczył, że Anglia nie myśli zmuszać Turcyi do opuszczenia Tessalii przed zapłaceniem odszkodowania wojennego.

Ischl 4 sierpnia. Cesarz odjechał dziś o 4 rano osobnym pociągiem drogą na Salzburg, Bischofsheim, Leoben do Wiednia.

Paryż 4 sierpnia. *Figaro* donosi, że książę Henryk Orleański w sprawie honorowej z włoskim jenerałem Albertone zamianował swymi sekundantami hr. Leontjewa i swego towarzysza podróży Mourichona.

Wiedeń 4 sierpnia. Na linii kolei państwowej Wiedeń-Voecklabruck przywrócono częściowo ruch. Przesiadać jednak muszą pasażerowie w pięciu miejscach. — Na linii Klein-Reifling-Selzthal zaczną prawdopodobnie pojutrze kursować pociągi dzienne, przez co przywrócona zostanie komunikacya z Salcburgiem i Tyrolem przez Amstetten, Selzthal, tudzież z Aussee.

Berlin 4 sierpnia. Kanclerz ks. Hohenlohe odjechał wczoraj o 11 w nocy do Petersburga.

Ateny 4 sierpnia. Prezes gabinetu Ralli oświadczył, że do podanych przez paryską „Ajencyę Havasa" słów wyrzeczonych przez ministra spraw zagranicznych Skuludisa do jednego z dziennikarzy (co do groźby króla Jerzego, iż złoży koronę, jeżeli mocarstwa obstawać będą przy kontroli finansów greckich. *Przyp. R.*), nie należy przywiązywać takiego znaczenia, jak to czyni przeważna część dzienników.

Ischl 4 sierpnia. Składka zarządzona w parku cesarskim na rzecz ofiar powodzi przyniosła 8.200 złr. Zgodnie z życzeniem Cesarzowej użyta zostanie ta kwota na wsparcie dla ludności w Salzkammergut.

Wiedeń 4 sierpnia. Tej nocy obniżyła się cokolwiek woda w Dunaju i w kanale, a jest nadzieja że dalej obniżać się będzie.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. Ludwik hr. Dębicki z Jaworowa. Franc. hr. Łubieński z Stryszowa. Dr. Kaz. Kirchmajer z Krakowa. Dyr. Wincenty Zeidler z Kronstadtu. Fr. Reiche z Drezna. Marya Chomińska z Wykoty. Konst. Waliński z Baranowa.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. K. Romański i Zenowicz z Wołynia. K. hr. Ledochowski z Podola ros. Dr. M. Fedorowicz z Stryja. Kalkstein z Pluskowęz. K. Perutz z Jasła. A. Fränzel z Gorlic. M. Golek z Wiednia. K. hr. Rostworowski z Hrehorowa. E. Braunschweig z Hamburga.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 4 sierpnia Ks St. Hermann z Tuligłów. M. Kijasowa z Odrzykonia. Dr. Mazarkiewicz z Rosyi. K. Udrycki z Mostów. S. Buczkowska z Bukowiec. B. Fischer z Rabki. A. Dunajewski z Jatwiengi. Dr. ks. Ciemnieniewski z Stanisławowa. Wł. Jaworski z Przemyśla. A. Wolf z Prossnitz.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym Zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 4 sierpnia Z. Zawistowski z Krowinki. D. Krzyczkowski z Kołomyi. P. Jaruntowski z Twierdzy. A. Kittler z Stuttgartu. W. Sinaiberger i J. Schmied z Wiednia. H. C. Wülke z Norymbergi. K. Piotrowski z Krakowa. Z. Piątkiewicz z Podola ros. A. Radwański z Odessy. J. Benisch z Berlina. K. Firle z Ołomuńca. Z. Stankiewicz z Jarosławia. A. Drewnicki z Żółkwi. P. Smagowicz z Budapesztu.

HOTELE K. JANOWICZA

BELLEVUE i METROPOL

we Lwowie.

Przyjechali dnia 4 sierpnia. J. Fischer i D. Heichler z Wiednia. F. Hauke, A. Stadler i S. Mekityn z Stanisławowa. J. Salzberg z Stryja. S. Parnes i M. Akselbrad z Podwołoczysk. K. Malniewski z Sambora. W. Sychta z Nowego Sącza.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 4 sierpnia. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 218.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283 — do 287.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 26[illegible].

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.20 do 110.90, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20 Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·6 do 98.30 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90

Obligi za 100 zł.: Gal fund. propinacyjnego 4 prc. 98.— do 98.70, Bukowinskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·20 do —.— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.47 do 9.57. Półimperyał 9.50 do 9.60. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.37. 100 marek niemieckich 58.45 do 58.90.

Wiedeń 3 sierpnia. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 370·25, węgierskie akcye kredytowe 401.—, anglobanku 162·—, związku bankow. 260.00, unionbanku 300.00, länderbanku 240.00, kolei państwowych 345·75, lombardów 84·50, kolei nadłabskiej 258.50, akcye tytoniowe 161.00, rima 267·50, alpiny 137·60, renta majowa 102·15, renta koronowa węgierska 100.25, losy tureckie 65.00, marki 58·67, ruble 126.—

42)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Beville i Fanny pełni byli niewyczerpanych pomysłów co do tych gier. Układali szarady, żywe obrazy, organizowali grę w gęsi, w niedźwiedzia, w chowanego i mnóstwo innych równie niedorzecznych, którym ciotka Dora i miss Moulton przypatrywały się z przykładną cierpliwością i wesołym humorem Koło północy Tina poprosiła Elżunię, aby zasiadła do fortepianu i zagrała walca, co ta chętnie bardzo uczyniła, i zanim przebrzmiały pierwsze akordy „Błękitnego Dunaju“, Izia w objęciach Bevilla popłynęła falą melodyi porywającej i zawrotnej jak prąd gładko toczącej się rzeki. Morton stał na uboczu, wpatrując się we wdzięczną postać narzeczonej, zdającą się kołysać w powietrzu w takt muzyki, i byłby tak stał zapatrzony i pogrążony w zachwycie aż do końca, gdyby nie była znienacka Fanny przystąpiła do niego.

— I cóż? — zapytała, patrząc mu w oczy z czarującym uśmiechem — czy ta melodya nie budzi w tobie żadnego natchnienia?

— Przeciwnie — odparł szybko. — Budzi we mnie pragnienie przetańczenia tego walca z tobą.

Wsparła drobną i skorą dłoń na jego ramieniu i pomknęli w ślad za pierwszą parą. Fanny Grange tańczyła znakomicie. Był to jeden z wrodzonych jej talentów, którym zyskała sobie entuzyastyczne pochwały pani Adelajdy, pierwszej nauczycielki tańców w Londynie.

— Ta dziewczyna stworzoną jest na tancerkę! — mawiała energiczna mistrzyni sztuki choreograficznej. — Wy wszystkie pełzacie jak gąsienice, pająki lub inne owady. Ona jedna jest uosobieniem poezyi ruchu... Ty, koteczko, nie potrzebujesz moich wskazówek. Kołyszesz się jak narcyz na łodydze, ślizgasz się jak strumień po łożysku. Ten dar otrzymałaś od Boga samego.

Tańczyć walca z Fanią było to zapomnieć na chwilę, że istnieje oprócz niej jakakolwiek inna kobieta na świecie i że daje inne jeszcze, wznioślejsze rozkosze, niż to senne, zawrotne wirowanie przy kołyszących i rozkołysanych dźwiękach rozmarzonej melodyi.

— Czyś zmęczona? — zapytał Morton, gdy kilkakrotnie okrążyli duży salon.

— Nie wiem, co to zmęczenie! — odparła.

Elżunia przeszła nieznacznie z „Błękitnego Dunaju“ w „Manolę“, pełną omdlewającej jakiejś słodyczy i nagłych porywów namiętności.

Lord Beville, który od dawna już odpoczywał, podczas gdy tamci niestrudzeni i zapominający o świecie płynęli dalej po woskowanej posadzce, jak po szklistej tafli lodu, wstał i puścił się na nowo w taniec, tym razem z Tiną. Izia zaś usiadła bliżej fortepianu, by zamienić parę słów z Elżunią Hardman. Poczciwe siwe oczy Elżuni śledziły taneczną parę, która ją najwięcej interesowała, to jest Mortona z Fanią. Ona i Morton przetańczyli z sobą niejednego walca w pogodne letnie wieczory, gdy okna otwarte były na ogród dla przepuszczania orzeźwiającej fali balsamicznego nocnego powietrza, a śpiew słowika mieszał się z akordami straussowskiego walca. Ale były to wieczory, w których Morton nikogo nie miał do tańca oprócz sióstr swoich; utrzymywał zaś, że się nie może zgodzić z żadną z nich. Dziś Elżunia wykluczoną była z zabawy, jako już niepotrzebna, i posmutniałemu nagle dziewczęciu wydało się, że losem jej będzie odtąd przypatrywać się tylko, jak drudzy się bawią i używają życia.

Lord Beville i Tina, okrążywszy salon, osunęli się na miękkie siedzenia obok Izi w zacisznym kąciku za fortepianem.

— Jak równy chód mają Morton i Fanny! — rzekł Beville, jakby się wyrażał o koniach. — Ale to nic dziwnego. Ona go ujeździła.

Izia ze zdziwieniem spojrzała na mówiącego.

— Nauczyła go walcować — tłumaczył Beville. — Wprawiali się oboje w tańcu w wielkim salonie w Blatchmardean ku wielkiemu popłochowi myszy i szczurów.

— Siostra pańska tańczy prześlicznie — rzekła Izia z lekkim odcieniem zazdrości, patrząc za Mortonem i Fanią, którzy wirując ciągle, falowali w pustej przestrzeni salonu, niby widma z legendy, niesione obłokiem.

Elżunia zakończyła grzmiącym akordem, a taneczna para zatrzymała się nagle, zdziwiona i jakby zbudzona z rozkosznego snu.

— Zdawało mi się, że się już nigdy nie zatrzymasz, Mortonie — rzekła miss Hardman.

— Przepraszam cię, Elżuniu. Nadużyłem twoich sił i cierpliwości, ale nie mogłem dopuścić, żeby lady Fanny prześcignęła mnie w ochocie, choć to ona nauczyła mnie tańczyć.

— Nie mówiłeś mi tego nigdy — rzekła po chwili Izia z wymówką, gdy znalazła się sam na sam z narzeczonym w cieplarniach, kwitnących parmeńskiemi fiołkami, zimowemi różami i konwaliami.

— Czego nie powiedziałem ci, najdroższa?

— Że lady Fanny nauczyła cię tańczyć walca

— Cóż za okropne przekroczenie!.. — odparł, uśmiechając się do niej, gdy stała pochylona nad jakimś krzewem. — Toż Fanny Grange i ja byliśmy z sobą jak brat z siostrą przez ostatnie dziesięć lat. Ona nauczyła mnie nietylko walcować, ale jeździć konno, bo wyznaję ze wstydem, że byłem okropnym niedźwiadkiem w polu, zanim zabrała się do mojej edukacyi.

— Ciekawa jestem... — szepnęła Izia i przerwała, oblewając się rumieńcem.

— Czego ciekawa jesteś, najmilsza moja?

— Dlaczego nie zakochałeś się w lady Fanny, tylko we mnie?

— To jest oryginalne zapytanie, na które mogę ci tylko odpowiedzieć tak, jak Tom Jones odpowiedział swojej kochance.

— A jakże on jej odpowiedział?

— Spojrzyj w lustro, Iziu, a przekonasz się, dla czego ukochałem cię nad wszystko na świecie i dla czego nigdy nie mogę przeniewierzyć się tobie.

— Czy tylko dlatego, Mortonie? — spytała żałośnie. — Tylko dlatego, iż wyobrażasz sobie, że jestem ładniejszą od drugich! To taki błahy powód. Choroba albo zmartwienie mogą w niwecz obrócić całą moją urodę.

— Ale nie zniweczą miłości mojej, Iziu. Wywołała ją piękność twoja, a teraz wrosła ona w serce moje i zapuściła głębokie korzenie w duszy. Nic nie jest w stanie osłabić jej.

— Chcę ci wierzyć i wiara ta jest mojem szczęściem — słodko odparła Izia, spoglądając na niego niewinnemi oczyma, w których promieniało bezgraniczne uczucie.

ROZDZIAŁ XXII.

Nazajutrz, po wczesnem śniadaniu, Iza odjechała do Fairview Ojciec jej obiecał powrócić dnia tego, to też nie chciała pozostać ani godziny dłużej, choć Morton i jego siostry dowodzili jej, że sir Everard nie może przyjechać, aż dopiero po południu.

— Nie jestem tego pewną — odparła. — Mógł wyjechać nocnym pociągiem.

— Nie zrobiłby tego bez koniecznej potrzeby — przekładała ciotka Dora.

— Czyż to nie jest dostateczny powód, aby mnie zobaczyć? — z oburzeniem odparła rozpieszczona jedynaczka. — Czyż papa nie wie, że czuję się najnieszczęśliwszą, gdy jego nie ma? O! droga ciociu, przepraszam!... — dodała skruszona, opamiętawszy się, że nie była dość wdzięczną za okazaną jej gościnność. — Było mi tu bardzo, bardzo dobrze z wami, ale już dłużej nie mogłabym żyć bez papy. Tej próżni w mojem sercu nic nie jest w stanie zapełnić.

Morton spoważniał nagle.

— Gdyby jej przyszło wybierać pomiędzy ojcem a mną, nie wahałaby się ani chwili — pomyślał w duchu.

Faetonik Izy, z przężony kucykami, stanął przed bramą punktualnie o dziewiątej. Wyjeżdżając z domu w wigilię Bożego Narodzenia, wydała była ścisłe rozkazy w tej mierze. Ona sama, ubrana już w futerko, stała przed gankiem, a elegancki jej kuferek podróżny został już zniesiony na dół. Zaczęły się serdeczne pożegnania z ciotką i trzema panienkami Elżunia bowiem, jakkolwiek biedna i zajmująca zależne stanowisko, traktowaną była, jakby należała do rodziny. Następnie Izia naciągnęła prędko futrzane rękawiczki i pobiegła prędko do powozu.

— Mam nadzieję, że mi pozwolisz odwieźć się na miejsce — rzekł Morton, siadając obok niej, poczem rącze kucyki kłusem ruszyły z miejsca.

Po dobrym kwadransie rozkosznej jazdy wśród pól i orzeźwiającego rannego powietrza, Morton został odprawiony od drzwi dworu.

— Czyż nie mogę wejść i zagrać z tobą partyę szachów? — prosił, ociągając się w progu.

— Szachy, o dziewiątej zrana!.. Cóż za niedorzeczna myśl... — zaśmiała się Izia. — Nie... nie... Będę okropnie zajęta cały ranek.

— Czyż zapomniałaś, że to dziś popis bokserów i ogólne święto?

— Tak, dla biedaków, którzy ciężko pracują rok cały i potrzebują mieć dzień swobodny, aby się upić. Mam mnóstwo rzeczy na głowie. Zresztą papa może lada chwila nadjechać i coś potrzebować ode mnie. Możeby mu nie na rękę byli goście. C. d. n.

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółki Hotel Zorza. Zarządca W. Hodak.